

Wtedy i teraz III

Wyrastanie z żon

Po raz pierwszy usłyszałem ten termin, gdy gruchnęła wieść, że właśnie rozwodzi się dyrektor LUL, w której to placówce miałem spotkanie autorskie. Pewnie widywałem go też w ZW ZMW, bo Uniwersytety Ludowe, pomysły chyba szwedzki, podlegały wtedy tej organizacji. Lubuski mieścił się w Klenicy, w pięknym pałacyku. Dyrektor był, jeśli dobrze pamiętam, partyjny. Zapamiętałem zaś dlatego, że moja partia UL-e uważała za swoje, pomna tradycji Gaci Przeworskiej i idei Solarzowych Uniwersytetów, więc przodująca siła miała za złe rozpychanie się i tu. Co prawda głośno tego nie artykułowała, ale starzy działacze, wywodzący się jeszcze z „Wici” i międzywojennych partii ludowych tłumaczyli młodszym jak rzecz należy widzieć. Ktoś więc, albo z ZMW, albo z instruktorów WK powiedział mi, że dyrektor się rozwodzi, gdy zaś zapytałem dlaczego, dodał: wyrósł z żony.

Rozwody w kręgach partyjnych były złe widziane. Czy zdarzały się mojej partii, nie wiem, pewnie tak, ale w najbliższym otoczeniu raczej ich nie było, gdyby się zdarzyły słyszałbym o nich. W tej najważniejszej były wtedy, we wczesnych latach sześćdziesiątych, prawdziwą plagą. Powody były, jak dziś to widzę, społeczne. Niegdyśiejsi działacze młodzieżowi, z naboru lat pięćdziesiątych, przekraczali poważnie trzydziestkę. Pokończyli szkoły, bywało nawet że studia. Obracali

się teraz w innym środowisku, czym innym żyli, niż wtedy, gdy żenili się. Wówczas oboje byli mniej więcej na tym samym poziomie, być może poznali się w organizacji, może na jakiejś akcji, albo po prostu byli z tej samej wsi czy miasteczka. A potem jego rzucili na inny odcinek, albo awansował w strukturach i przenieśli go na inny teren, zobowiązując do dokształtu. On dorastał i dojrzewał, ona, zajęta dziećmiakami i mężem biegającym z zebrania na zebranie, z akcji do akcji, stała w miejscu. Kiedyś byli równi, teraz on z niej wyrósł, nie bardzo jest o czym z nią gadać, nie bardzo też pokazać się publicznie, a młodych i pięknych tyle wokół. Zdaje się, że sprawa owego dyrektora stawała nawet na Komisji Kontroli Partyjnej, zdaje się, że było coś w rodzaju maleńkiego skandaliku, ale się nie ugiął.

Walec społeczny się przetoczył, normy się zmieniły, niby sprawa całkiem prywatna, a przecież cząstka czegoś dużo większego.

I chyba rozwód pisarza T. J., z biografią bardzo podobną i z podobnymi życiowymi wyborami, też w owym procesie wyrastania z żon trzeba widzieć.

Coś mi się zdaje, bo prasa od czasu do czasu o tym donosi, że i teraz, w całkiem innych warunkach, ale też po wielkiej transformacji, następuje podobne wyrastanie. Z podobnym jak wtedy trudem wyrasta bowiem nowa warstwa społeczna, więc i koszty, po równi społeczne i prywatne, są podobne.

7 VII 2007

Lubuska Sorbona

Bardzośmy się z Trziszką śmiali z tej szkoły. Nie wiem czy przezwę „Lubuska Sorbona” on wymyślił, czy funkcjonowała wcześniej w kręgach, w których obaj się obracaliśmy. Wtedy była to już szkoła średnia, wcześniej – podstawowa, jeszcze wcześniej – kursy dla analfabetów. Działała przy WK ZSL. W tym czasie, gdy w gmachu bywałem niemal codziennie, bo w pokoju Wydziału Propagandy stało moje biurko kierownika Zielonogórskiego Oddziału „Gazety Chłopskiej”, właśnie kończyła działalność. W jej miejsce utworzono nieoficjalną delegaturę toporowskiej filii wrocławskiej WSR. Sam prezes poseł pobierał tam nauki. Egzaminów zdawał w swoim gabinecie. Pani ze stołówki (sławnej, najlepszej w mieście, gdzie do niej przasna i śmierdząca kapusta stołówka KW, nawet redaktor M. H., słynny smakosz, do niej przychodził) przygotowywała uroczysty obiad i po egzaminach nosła z piwnicy na piętro.

Zdaje się, że prezes był też absolwentem poprzednich wersji szkoły.

Bo uczył się w niej aparat polityczny ludowej partii. Choć chyba nie tylko, pewnie też pracownicy instytucji zależnych i takich, których pracownicy byli z klucza. Może i żony też. W każdym razie była to szkoła dość ekskluzywna, choć z biegiem lat dostępna także dla ludzi z zewnątrz.

Co tu kryć – aparat uczył się pod przymusem. Kto nie chciał – wypadał. Z aparatu etatowego, choć mógł pozostać funkcyjnym działaczem. Jednego z takich poznałem. Był prezesem zielonogórskiego PK. Na literach się nie znał, banknoty wszakże rozpoznawał bezbłędnie. Trudnił się, jeśli mnie pamięć nie myli, skupem butelek, a może i innych surowców wtórnych. Gdy mieszkaliśmy na Dzierżyńskiego w pobliżu postawił całkiem solidną willę.

Lubiłem z nim rozmawiać, miał świetną pamięć, poczucie humoru, no i nie musiał trzymać linii. Mówił więc, jak było.

A było na przykład tak. Trwała akcja przejmowania kół PSL. Nie tyle przejmowania, co przepisywania członków. Z niestusznego

mikołajczykowskiego PSL do słusznego SL. Szeregi, wpięrow nieliczne, rosły, ale – opowiadał – chłopcy byli oporni. W jednej takiej wsi za nic nie chcieli się przepisać, więc – powiada – wziąłem ich na sposób. Jaki, spytałem. Prosty – zwołałem zebranie, gdy przyszli zamknąłem drzwi na klucz, wejścia były obstawione. No i pytam – przepisecie się (mazurzył mocno)? Nie, mówią, nie przepiszemy się. No i tak siedzą, papierosy palą. Aż im zabrakło. Poczęstujcie kolego – proszą. A przepiszecie się? Nie, nie przepiszemy się – odpowiadają. Więc siedzcie – mówię i zapalam kolejnego. Siedzą, wyjść nie można, a palić się chce. No i w końcu, ich zmgotło, przepisali się wszyscy co do jednego, a była już głęboka noc, zapaliłiśmy, otworzyłem drzwi, obstawa odjechała, i tak przybyło nam jeszcze jedno koło. Organizacja rosła.

Opowieść druga tyczy mocy sprawczej tudzież koneksji ze szczeblem najwyższym. Przychodzi do mnie chłop i mówi, że ma kłopoty, bo obowiązkowe dostawy, a on nie ma co odstawić, więc go ciągną. Nie ma sprawy, mówię, zadzwonię do Bolka, Bieruta znaczy. I w słuchawkę, a aparat był niepodłączony, Bolek? To ty, co słytać? U mnie też wszystko po staremu, jak będziesz w Zielonej wpadnij, pogadamy, popijemy. No to cześć! Ale wiesz jest u mnie jeden chłop, nasz członek, kłopoty ma, bo go za obowiązkowe ciągną. Co? Obowiązkowe to obowiązkowe! Wiem, ale on nie może, porządny, gdyby mógł to by odstawił, gwarantuję za niego! Co, dla mnie tego nie zrobisz? Postarasz się? Postaraj się, sam wiesz jak trudno robić polityczną robotę, a my tu na wsi mamy jeszcze większe kłopoty. Więc załatwione? Tak, na mur-beton! No to do zobaczenia.

Wyszedł zadowolony, opowiadał. Co potem było, już nie mówił. Może przekonał, że na tych od dostaw i Bolek za słaby, a co dopiero powiatowy prezes ludowej partii.

Ale nie o nim miało być, a o szkole. Kiedyś się śmiałem, teraz już nie. Właściwie przestałem się śmiać, gdy obejrzałem piękny album zdjęć z Kresów, które w latach trzydziestych zrobiła amerykańska fotografka

(a pewnie i agentka) specjalizująca się w fotografowaniu ludów dzikich.

Toż oni stamtąd byli, albo z zapadłych wsi kieleckich, rzeszowskich, chętni do roboty, ale wiedzący niewiele. I to zrobiono dla nich: od kursów pisania i czytania, po wyższą uczelnię. Może i po łóbkach, z taryfą ulgową, ale jednak.

A potem już nie trzeba było, bo do pracy w firmie przychodzili ludzie po normalnych szkołach, normalnych studiach.

Prawdę mówiąc szczególnych różnic pomiędzy nimi nie widziałem. Więc i o szkole, z której się z Trziszką naśmiewaliśmy, myślę teraz z szacunkiem.

Pisarze tamtej epoki zwali to „trudem ziemi nowej”, poeta Mieczysław Jastrun opiewał w wierszu o Annie Żywioł.

Myślę, że mieli rację.

7 VII 2007



Ein Disput

Lieber Grzegorz Gorzechowski,

ich habe ihren Artikel „Deutsche-polnische Schelten“, im Pro Libris Heft 1/2007 immer wieder gelesen und kann damit einfach nicht froh werden. Sie stützen ihre Aussagen auf Beobachtungen und Tatsachen und ich könnte eigene, aus der Sicht und Erfahrung eines Deutschen, hinzutun, die das deutsch-polnische Verhältnis auf der Ebene ganz normaler Menschen, als immer wieder widersprüchlich erscheinen lassen würden. Aber das ist nicht mein Interesse. Mich interessieren Stereotypen und Klischees in den deutsch-polnischen Beziehungen wenig. Meistens sind sie auf bestimmten sozialen Ebenen angesiedelt und widerspiegeln soziales Gefälle, Fälle von Ungerechtigkeit, Unglück, Kleinkriminalität. Bevorzugt sind diese Ebenen der Tummelplatz von Dummköpfen, Chauvinisten und Selbstdarstellern. Zum Glück sind sie nicht in der Mehrzahl und verfügen auch kaum über Macht.

Die Politik tut eine ganze Menge um die deutsch-polnischen Beziehungen zu verbessern und immer wieder neue Chancen aufzutun. Die Summe der Angebote in Kontakt zu kommen ist für mich nahezu unübersehbar und hat man ein Angebot entdeckt, nutzt es meisten schon ein anderer. Die Aktivitäten von Organisationen, Vereinen und Stiftungen sind so zahlreich wie nie zuvor in der Vergangenheit. Trotzdem gibt es in einem solchem Prozeß auch immer wieder Gegensätzliches, mit unseren Mentalitätsunterschieden und unserer unterschiedlichen Kultur müssen wir immer wieder aufs Neue leben lernen. Dieser Prozeß ist nie abgeschlossen.

Stereotypen und Klischees, Stammtischler und Provinzler und TV-Moderatoren sind für mich nicht der Maßstab deutsch-polnischen Verstehens.

Es wird immer ein Rest bleiben an Unverständnis und Fremdheit zwischen zwei Kulturen, der sich nicht auflösen lässt. Passen wir gut auf, dass er nicht ins Zentrum gerät und an Macht gewinnt. Aber dafür stehen die Zeichen gut, finde ich.

Dysputa

Drogi Panie Grzegorzu,

kilkakrotnie przeczytałem Pański artykuł „Polsko-niemieckie połajanki”, opublikowany w Pro Libris nr 1/2007 i wciąż nie mogę się otrząsnąć. Opiera Pan swoje wypowiedzi na obserwacjach i faktach, a ja mógłbym dorzucić swoje, czynione z pozycji i na podstawie doświadczeń Niemca, doświadczeń, które dowodzą, jak skomplikowane są stosunki polsko-niemieckie na poziomie zwyczajnych ludzi. Ale leży to poza polem moich zainteresowań. Nie jestem zbyt zainteresowany stereotypami i kliszami w stosunkach polsko-niemieckich. W większości są one zakorzenione wśród pewnych warstw społecznych i odzwierciedlają społeczne różnice, przypadki niesprawiedliwości, nieszczęść, drobnej przestępczości. Te właśnie warstwy społeczne są ulubioną areną działań głupców, szowinistów i kabotynów. Tak się jednak szczęśliwie składa, że nie stanowią oni większości i rzadko mają jakąkolwiek władzę.

Politycy natomiast robią bardzo wiele dla poprawy stosunków polsko-niemieckich, starają się otworzyć im nowe szanse. Możliwości nawiązania kontaktów są z mojego punktu widzenia wręcz nieprzebrane, a gdy zdecyduję się już na jakąś ofertę, to okazuje się, że skorzystał z niej już ktoś inny. Przykłady współpracy organizacji, stowarzyszeń i fundacji są liczniejsze niż kiedykolwiek w historii. Ale oczywiście taki proces wciąż natrafia na opory, wciąż na nowo musimy uczyć się naszych różnic mentalności i odmienności kulturowych. To proces, który będzie trwał zawsze.

Stereotypy i klisze, zaścianek, prowincjusze i autorzy programów telewizyjnych nie są dla mnie miarą stosunków polsko-niemieckich.

Zawsze pozostanie jakaś resztką niezrozumienia i obcości między dwiema kulturami, i tej resztki nie da się usunąć. Trzeba jedynie uważać, by nie zyskała ona na znaczeniu, by nie stała się opinią większości. Ale w tej sprawie jestem optymistą.

Tłumaczenie Grzegorz Kowalski

Wciąż blisko tradycji

Z Jurijem Kochem, popularnym pisarzem serbołużyckim
rozmawia Romuald Szura

Od pół wieku Jurij Koch troszczy się o tożsamość narodową Serbów Łużyckich w Niemczech, o ich kulturę i język. Obecnie jest najbardziej popularnym pisarzem serbołużyckim, znanym także w zielonogórskim środowisku literackim.

Z pisarzem o jego twórczości i działaniach społecznych rozmawia Romuald Szura.

Romuald Szura: - Jest pan autorem wielu znanych nie tylko na Łużycach, lecz także w Niemczech powieści, nowel, esejów dotyczących głównie ekologii, nie wspominając już o sztukach teatralnych, scenariuszach filmowych i słuchowiskach radiowych. Myślę, że pana talent epicki zaczął się rozwijać w latach 60. i 70., kiedy ukazały się takie książki jak „Żydówka Hanna”, „Między siedmioma mostami” czy „Róża Maria”.

Jurij Koch: - Moje literackie początki sięgają wcześniejszego okresu. Już w latach 1956-1960, jako student dziennikarstwa w Lipsku, zacząłem pisać – jak to zwykle bywa – wiersze. Potem zostałem kierownikiem kabaretowej grupy studentów serbołużyckich. Pisałem więc teksty, a właściwie krótkie scenki satyryczne. Zresztą, w czasie studiów dziennikarskich pogłębiałem jednocześnie moją wiedzę o literaturze nie tylko niemieckiej.

- Niemal każda pana powieść, nowela zawierają powojenne losy Serbołużyczan, ich narodowe tradycje i zwyczaje, troskę

o zachowanie ojczystego, słowiańskiego języka. Myślę, że przykładem tego może być powieść „Róża Maria”.

- „Róża Maria” to książka, która należy do wcześniejszego okresu mojej twórczości. Jest to powieść trochę patetyczna, powstała w mojej młodości, podczas tzw. burzy i naporu. W powieści tej ukazuję stosunki międzyludzkie, które panowały w NRD, a dotyczyły szkolnictwa i wychowania młodzieży w pierwszych powojennych latach. Jej bohaterką jest młoda nauczycielka, która na co dzień broni kultury i języka Serbów Łużyckich, narazając się przez to wielu niemieckim pedagogom. Konflikty, które przeżywa w zderzeniu z oficjalną polityką, stanowią interesującą historię odradzania się słowiańskiej mniejszości narodowej w Niemczech. Kiedyś książka ta była popularna wśród czytelników. Dzisiaj jednak jako literacki temat może zainteresować już tylko historyków literatury.

- Nie odkryję żadnej tajemnicy, jeżeli powiem, że ten mały naród słowiański w Niemczech istnieje nadal dzięki swojej kulturze i językowi...

- To prawda. Najbardziej istotnym wyrazem kultury Serbów Łużyckich jest ich język, którego istnienie zawsze było zagrożone. Kultura i środowisko niemieckie były zawsze mocniejsze. Różne są tego przyczyny. Moglibyśmy godzinami o tym rozmawiać. Jest to pewien proces, który istnieje na całym świecie. Obecnie mamy około 6 tysięcy

różnych języków. Historiografowie i etnografowie są zdania, że od 3 do 4 tysięcy z tych języków zniknie w ciągu stulecia. A więc jest to proces stale postępujący. Zgodnie z moją wiedzą i obserwacjami to, że Serbołużyczanie jeszcze w ogóle istnieją, to jest prawdziwy fenomen. Po 1400 latach współżycia z Niemcami, nadal są ludzie, którzy posługują się językiem łużyckim. To prawdziwy cud, że ten język jeszcze istnieje. Stało się tak, ponieważ Serbołużyczanom udało się w XVIII wieku i później rozwinąć język pisany. Zaczęli więc pisać i drukować książki, zaczęli ogłaszać drukiem różne publikacje. Mamy więc od dawna – jeżeli można tak powiedzieć – drukowaną kulturę.

- Kto tak naprawdę czyta dzisiaj pisarzy serbołużyckich?

- Czyta nas przede wszystkim młodzież szkolna, gimnazjalna. Czytają nas także studenci i intelektualiści, którzy chcą poznać naszą literaturę. Jest to normalna sytuacja, podobnie jak w przypadku innych narodowości i grup etnicznych. Nasze książki czytają też starsi ludzie.

- W Polsce jest znana pana nowela „Drzewo wiśni” w tłumaczeniu Bolesława Lubosza, w której pokazuje pan miłość dwojga młodych ludzi, pochodzących z różnych środowisk, interesujące przemiany obyczajowe i kulturowe na Łużycach. Co było inspiracją napisania tej książki, która później została sfilmowana?

- Mówiłem już o tym na początku. Tutaj na Łużycach, od dziesięcioleci, od stuleci spotykają się dwa światy. Po jednej stronie jest to tradycyjny świat Serbołużyczan: ich myślenie i przeżywanie ojczyzny, próba zachowania kawałka ziemi, na której pozostało jeszcze trochę dawnej kultury, a więc świat tradycji. A po drugiej stronie mamy postęp techniczny, poczynając od XIX wieku, gwałtowne przeobrażenia, uprzemysłowienie. Kiedy dochodzi do zderzenia tych dwóch światów, rodzą się konflikty. I oboje przedstawiciele tych światów, po jednej stronie Ena – bohaterka mojej noweli, uczciwa dziewczyna wychowana na tradycjach ludowych, a po drugiej stronie – szaleniec, zawadiaka Sieghart,

inżynier, człowiek z zewnątrz, który ma zupełnie inną filozofię świata. Ale oni się kochają. A jednak musiało dojść do konfliktów. I tak jak w każdej noweli, napisanej według klasycznych wzorców, jej zakończenie jest smutne, dramatyczne. Książka ta wywołała wiele dyskusji wśród czytelników. Łużyczanka Ena, po tym jak strzeliła do swego ukochanego mężczyzny, miała świadomość, że tym samym zniszczyła swoją przyszłość. Martwy człowiek, który leżał tam nad brzegiem stawu, był jej mężem Sieghartem. To znaczy – zgodnie ze starą mądrością – że ten, kto rozstaje się ze swoją przeszłością, ten jednocześnie pozbawia się przyszłości.

- Wiem, że pana utwory literackie tłumaczono na wiele języków europejskich, m.in. na czeski, hiszpański, słowacki, słoweński, na rosyjski... A w Polsce?

- W Polsce została wydana tylko jedna moja książka „Drzewo wiśni”. Wiem natomiast, że dawno temu w śląskich almanachach ukazało się kilka moich opowiadań, a w antologiach poezji – kilkanaście moich wierszy. Poza tym w czasopismach takich jak zielonogórskie „Nadodrze” i katowickie „Poglądy” wydrukowano niektóre moje utwory poetyckie. Oczywiście, czasopisma te dzisiaj już nie istnieją, ale zapamiętałem ich tytuły.

- Wiem, że zajmuje się pan nie tylko pisanie książek. W miejscowym radio prowadzi pan audycje w języku dolnołużyckim, a raz w miesiącu w telewizji Berlin-Brandenburg występuje pan w programie „Łużyce”. A poza tym działa w „Domowinie”.

- Nie żyję w wieży z kości słoniowej. Nie wybudowałem sobie domu na peryferiach Chociebuża po to, ażeby siedzieć w ogrodzie i od rana do wieczora słuchać ptaków. Jestem także człowiekiem interesującym się polityką i często uczestniczę w różnych wydarzeniach. Staram się poznać dokładnie otaczającą mnie rzeczywistość. Nasza „Domowina” założona w 1912 roku jest organizacją narodową z prawie stuletnią tradycją. Raz tylko w 1937 roku jej działalność została zakazana na kilka lat przez niemieckich faszystów.

„Domowina” przeżyła już wiele zawirowań politycznych, a dzisiaj mając 7 tysięcy członków, odgrywa ważną rolę w życiu Serbów Łużyckich. Również w moim życiu.

- Czy mógłby pan przypomnieć tytuły swoich najnowszych książek?

- Napisałem nową książkę – powieść przygodową - dla dzieci „Jakub i srebro kota”, która została niedawno wydana. A także opowiadanie „Golo i Logo”. Ostatnio pracowałem intensywnie dla telewizji. Napisałem też nową sztukę teatralną, komedię, której premiera odbyła się niedawno. A niebawem sztuka ta doczeka się swojej niemieckiej premiery na scenie Niemiecko-Łużyckiego Teatru Narodowego w Budziszynie.

- Dziękuję za rozmowę, a na zakończenie naszego spotkania przypomnę fragment oceny pana twórczości, którą wiele lat temu przedstawił Bolesław Lubosz, poeta i tłumacz literatury serbołużyckiej:

„Swoimi powieściami Jurij Koch udowodnił, że jest pisarzem, mającym wiele do powiedzenia człowiekowi w ogóle – nie tylko społeczności serbołużyckiej. Humanistyczny krąg jego obserwacji jest szeroki i dotyczy ludzi współczesnych, alienowanych przez agresywność materii politycznej i prądów ambicjonalnych. Stał mocno w prozie łużyckiej – obok Jurija Brězana – nie w jego cieniu, ale na obszarze nowych literackich doświadczeń”.



Über-Brücken

Sommerakademie auf der Oder

- auf den Spuren von alten und neu geplanten Flussübergängen. Eine Veranstaltung des Lehrstuhls für die Geschichte Osteuropas der Europa-Universität Viadrina in Frankfurt (Oder) vom 17.05.-20.05.2007

Ich nehme an einer Reise teil, als Regionalist, als Einheimischer der an der Oder aufgewachsen ist. Als jemand der dennoch wenig über die Brücken und Übergänge über diesen Fluß weiß, seit dem er Grenzfluß ist. Weil es diese Übergänge, mit Unterbrechungen, fast ein halbes Jahrhundert nicht gegeben hat, weil sie zum Teil zerstört waren, oder ausschließlich militärisch genutzt wurden. Seit dem der Oderraum und speziell die Grenz-Oder, nicht nur mehr Grenzraum zwischen Deutschland und Polen ist, sondern wieder gemeinsamer europäischer Gestaltungsraum, kommen auch wieder die alten Übergänge und Brücken über diesen Fluss in Erinnerung. Sie bekommen wieder Bedeutung in einem zusammenwachsenden Europa. Die natürliche Barriere, der Fluß, braucht wieder seine Brücken und Fähren, wenn die Menschen beiderseits des Flusses zu einander wollen.

Die Reise beginnt im Stadtteil Fürstenberg, unweit des Zentrums von Eisenhüttenstadt. Hier gab es einmal eine mächtige Oderbrücke, die weit über die Oderwiesen in das heutige polnische Land, bis zum Ort Kłopot hineinragte. Der Brückentorso, noch mehr als hundert Meter lang, die Brücke im Krieg zerstört, ist heute noch imposant anzuschauen. Wie ein großes verendetes Tier liegt er in den Wiesen. Leicht könnte man denken, nur noch ein kleines eisernes

Po-mosty

Letnia Akademia na Odrze

- śladami starych i planowanych przepraw przez rzekę. Impreza Katedry Historii Europy Wschodniej Uniwersytetu Viadrina we Frankfurcie nad Odrą w dniach 17-20.05.2007

Biorę udział w pewnej podróży jako regionalista, jako tubylec, który wyrósł nad brzegami Odry. Ale także jako ktoś, kto niewiele wie o mostach i przeprawach przez tę rzekę od czasów, gdy stała się ona rzeką graniczną. Bo przeprawy te, z krótkimi przerwami, nie istniały przez prawie pół stulecia, jako że część z nich była zniszczona lub wykorzystywana wyłącznie do celów wojskowych. Od chwili, gdy Nadodrze, w szczególności graniczna Odra, przestały być już tylko obszarem granicznym między Polską a Niemcami, a stały się wspólnym regionem europejskim, warto przypomnieć sobie o starych przeprawach i mostach nad tą rzeką. W zrastającej się Europie zyskują one coraz bardziej na znaczeniu. Skoro ludzie po obu jej stronach znów chcą się spotykać, to ta naturalna bariera, rzeka, ponownie potrzebuje mostów i promów.

Podróż zaczyna się w Fürstenbergu, dzielnicy leżącej w pobliżu centrum Eisenhüttenstadt. Tu znajdował się kiedyś potężny most na Odrze, który sięgał daleko w polskie dziś, nadodrzańskie łąki, aż po miejscowość Kłopot. Wciąż jeszcze imponujący widok stanowi jego bryła, do dziś długa na ponad sto metrów, choć sam most został zniszczony w czasie wojny. Leży na łąkach jak wielkie, padłe zwierzę. Można by wręcz pomyśleć, że wystarczy wstawić tylko mały żelazny ele-



Brückenteil wieder zwischen die Pfeilerstümpfe gesetzt und fertig ist die alte, neue Brücke. Aber halt, fünfzig Jahre Grenzgebiet und Stagnation der Verkehrsverbindungen lassen sich nicht auf Anhieb wiederbeleben. Die Entwicklung auf beiden Seiten der Oder an diesem Ort ging jahrelang in entgegengesetzte Richtung. Nun heißt es, in Politikerkreisen, wir bauen keine Brücke für Pilzsammler.

Und doch wird es in dieser Region wieder eine Brücke geben, ob nun genau an dieser Stelle oder an einer anderen, günstigeren. Der Stahlkonzern der Eisenhüttenstadt dominiert und auch die polnische Seite, haben ein vehementes Interesse daran.

Am nächsten Tag besteigen wir einen Eisbrecher mitten im Sommer. Die „Kuna“ so heißt der Eisbrecher ist ein Museumsschiff mit Heimathafen Gorzów Wlkp. und einer mehr als hundertjährigen, wechselvollen Eigentümergeschichte. Sie wird uns die Oder abwärts, erst nach Ślubice und dann nach Kostrzyn an die Wartemündung bringen. Kapitän Jerzy Hopfer ist ein erfahrener Schiffsführer und seit vielen Jahren auf Oder



ment między przęsła i już powstanie nowostary most. Ale zaraz, pięćdziesiąt lat na granicy, pięćdziesiąt lat stagnacji komunikacyjnej – tego nie można ot, tak, po prostu, wymazać. Po obu stronach Odry rozwój w tym miejscu kierował się w przeciwną stronę. Dziś, mówią politycy, nie będziemy budowali mostów dla grzybiarzy.

A jednak powstanie w tym regionie nowy most, czy to dokładnie w tym samym miejscu, czy może w innym, dogodniejszym. Daje tu znać o sobie dominacja koncernu stalowego w Eisenhüttenstadt, ale i polska strona jest żywo zainteresowana nową przeprawą.

Następnego dnia, w samym środku lata, wsiadamy na łodołamacz. Nosi nazwę „Kuna”, jest statkiem-muzeum zarejestrowanym w Gorzowie Wielkopolskim i ma za sobą ponad stuletnią, zmienną historię. Powiezie nas w dół Odry, najpierw na Ślubice, potem do Kostrzyna, ku ujściu Warty. Kapitan Jerzy Hopfer to doświadczony marynarz i od wielu lat zadomowiony na Odrze i Warcie. Lecz zanim wraz ze statkiem opuścimy Fürstenberg, będziemy mieli jeszcze raz okazję stwierdzić, jakie znaczenie miał tutejszy port rzeczny, jego stocznia i śluza na kanale Odra-Szprewa w czasach, gdy Odra była rzeką bez granic. W olbrzymiej komorze śluzy na kanale Odra-Szprewa jesteśmy, z wyjątkiem kilku sportowych łódek, jedynymi, którzy chcą wpłynąć na Odrę.

Dawniej przeprawę przez Odrę stanowiły nie tylko mosty kolejowe i samochodowe, tak jak dzisiaj, lecz także liczne promy zapewniające komunikację między jednym a drugim brzegiem i tworzące w ten sposób związki na poziomie gmin. Zagęszczenie promów na Odrze było ogromne, tylko na odcinku między Schwedt i Raławiem kursowały 22 promy.

Pierwsza, nie istniejąca już przeprawa przez Odrę, którą minęliśmy w drodze do Fürstenbergu, nazywa się Aurith-Urad. Po obu stronach wciąż jeszcze – i już – są gotowe przystanie promowe, budowane w czasach Zimnej Wojny i wykorzystywane oczywiście tylko w celach wojskowych. Lokalizacja jest

und Warthe zu Hause. Doch bevor wir Fürstenberg mit dem Schiff verlassen bekommen wir noch einmal einen Eindruck welche Bedeutung der Oderhafen Fürstenberg, mit Werft und großer Oderspreekanal-Schleuse einmal hatte, als die Oder eine grenzlose Wasserstraße war. In der riesigen Schleusenkammer der Schleuse des Oderspreekanals sind wir mit ein paar Sportbooten die einzigen, die es auf die Oder hinauszieht.

Früher überquerten die Oder nicht nur Brücken für Eisenbahn und Autoverkehr, wie heute auch, sondern es gab zahlreiche Fähren die von einem zum anderen Ufer übersetzten und so kleinste kommunale Verbindungen schufen. Die Oder war ein Fluß mit sehr dichtem Fährbesatz, allein zwischen Schwedt und Ratzdorf gab es 22 Fähren.

Den ersten ehemaligen Oderübergang, den wir nach Fürstenberg passieren heißt, Aurith-Urad. An beiden Ufern sind die Anlegebrücken für eine Fähre noch und schon wieder vorhanden, denn in den Zeiten des Kalten Krieges hatte man vorgebaut, aber natürlich nur an eine militärische Nutzung gedacht. Der Standort hier ist so günstig, dass er für eine neue Brücke erhalten könnte, aber da gibt es plötzlich Widerstände, vor allem auf deutscher Seite. Seit Jahrzehnten ist das Flußufer hier ein beschaulich, naturbelassener Ort, mit entsprechender Flora und Fauna. Eine Brücke mit autobahnähnlichen Straßen wäre ein schwerer Einschnitt in diese Flußlandschaft und mit der Ruhe, die vor allem die Aurither und vielleicht nicht nur sie, so mögen, wäre es dahin.

Der Wettstreit Brücke oder Fähre läuft und ist noch nicht entschieden.

Eigentlich ist es bis zum unserem nächsten Zielort Frankfurt/Oder – Slubice nicht mehr weit und an Deck der „Kuna“ kann man bei schönsten Sonnenschein die Landschaft beiderseits des Flusses genießen. Zwei imposante Brücken werden wir noch sehen, die kurz hintereinander über die Oder führen. Die Eisenbahnbrücke und die Autobahn über die Oder, beide waren im Krieg zerstört, doch recht bald wieder aufgebaut und über viele Jahrzehnte nur militärstrategisch und



sofort so, dass es möglich ist, an dieser Stelle einen neuen Brückenbau zu planen, aber es gibt Widerstände, vor allem auf der deutschen Seite. Die Oder ist ein sehr schönes Stück Natur, in dem sich eine entsprechende Fauna und Flora entwickelt hat. Eine Brücke, die den Fluss durchschnitten hätte, wäre eine radikale Eingriff in die Landschaft. Es ist schade, dass man sich von diesem friedlichen Zustand verabschieden muss, aber es ist notwendig für die Bewohner von Aurith, auch wenn es nicht nur für sie ist.

Die Diskussionen über den Bau einer Brücke sind noch im Gange und werden noch einige Zeit dauern.

Der nächste Schritt ist die Fahrt nach Frankfurt/Oder – Slubice. Das ist nicht weit entfernt, aber es ist eine schöne Fahrt. Die Landschaft ist sehr schön und es gibt viele interessante Sehenswürdigkeiten. Die Fahrt ist sehr angenehm und man kann sich entspannen.



wirtschaftlich genutzt, bevor sie auch wieder für den Individualverkehr Bedeutung gewinnen. Sie werden ihren Dienst noch lange tun müssen. Hier wird es so schnell keine neue Brücke geben, warum auch.

Wir nähern uns Frankfurt/O.-Slubice, vom Schiff aus zieht die Silhouette der Stadt an uns vorbei, von Sekunde zu Sekunde ändert sie sich, kein fotografisches Motiv steht lange genug für eine abwägende Betrachtung. Die Stadtbrücke von Frankfurt/O.-Slubice zählt wohl zu den ältesten Oderübergängen, denn schon die frühesten Stadtansichten vergangener Jahrhunderte, zeigen die Brücke in ihrer Mitte. Immer wieder zerstört und immer wieder aufgebaut, zuletzt in den neunziger Jahren modernisiert, könnte sie nicht breit genug sein, um den wachsenden Verkehr in einer Mischung von Fußgängern, Radfahrern und Fahrzeugen aufzunehmen. Slubice verfügt über einen kleinen Sport- und Yachthafen. Hier sollen wir mit der „Kuna“ vor Anker gehen. Doch bevor es soweit ist, erleben wir eine kleine Havarie. Beim Einbiegen in die Einfahrt zum Slubicer Hafen, läuft die „Kuna“ auf eine Sandbank und sitzt fest. Wir sind nicht mehr manövrierfähig und auf fremde Hilfe angewiesen. Kein ungewöhnliches Risiko bei einer Schifffahrt auf der Oder, wenn diese zu wenig Wasser führt, wie in einem heißem Sommer wie diesem, versichert uns Kapitän Jerzy Hopfer. Mehrmals schon haben wir das schürfen des Grundes am Boden unseres Schiffes vernommen. Auch das gehört zum Abenteuer dieser Oderfahrt. Über Funk wird ein Bugsierschiff aus dem Slubicer Hafen gerufen



brzegach. Będziemy mogli zobaczyć także dwa imponujące mosty prowadzące przez Odrę jeden tuż za drugim. Mosty kolejowy i drogowy – oba zostały zniszczone w czasie wojny, jednak już wkrótce odbudowane i przez dziesięciolecia wykorzystywane tylko do celów wojskowych i gospodarczych, zanim znów udało się je odzyskać dla komunikacji indywidualnej. Będą musiały służyć jeszcze przez wiele lat. Tu nie powstanie szybko żaden nowy most, zresztą po co?

Zbliżamy się do Frankfurtu nad Odrą i Slubic, obserwujemy ze statku przesuającą się sylwetkę miasta, zmieniającą się z sekundy na sekundę, żaden motyw fotograficzny nie utrzymuje się wystarczająco długo, by go pokontemplować. Most łączący Frankfurt ze Slubicami należy chyba do najdawniejszych przepraw przez Odrę, już najstarsze panoramy miasta z minionych wieków pokazują go w centrum. Wciąż był niszczone i wciąż na nowo odbudowywany, ostatnio w latach 90., wciąż nie jest dość szeroki, by sprostać rosnącemu natężeniu ruchu – mieszaniny pieszych, rowerzystów i pojazdów samochodowych. Slubice dysponują niewielkim portem sportowo-jachtowym. To tu mamy przybić z naszą „Kuną“. Lecz nim tak się dzieje, jesteśmy świadkami drobnej awarii. Podczas wpływania do słubickiego portu „Kuna“ wpada na mieliznę i zatrzymuje się. Nie mamy możliwości manewru i musimy czekać na pomoc. To ponoć nic nadzwyczajnego podczas rejsów po Odrze w czasie gorącej letniej pory, gdy stan wód jest zbyt niski, tak jak w tym roku. Tak w każdym razie zapewniał nas kapitan Jerzy Hopfer. Już kilkakrotnie przedtem słyszeliśmy zgrzyt dna rzeki o korpus naszego statku. To również część przygody, jaką jest rejs po Odrze. Droga radiową przywołałiśmy holownik ze słubickiej przystani i już po kilku minutach mogliśmy zarzucić w niej kotwicę.

Następnego dnia dalej płyniemy Odrą, w kierunku Kostrzyna, omijając Lubusz, dawną siedzibę biskupów, i wpływamy na tereny, na których całymi kilometrami nie widać nawet śladu ludzkich siedlisk. Również w Lubuszu widać jeszcze pozostałości po

und in wenigen Minuten sind wir befreit und können im Hafen vor Anker gehen.

Am nächsten Tag geht die Reise auf der Oder weiter, in Richtung Kostrzyn, an Lebus vorbei, dem ehemaligen Bischofsitz, in eine Flußlandschaft hinein, die uns lange keine menschliche Ansiedlung am Fluß entlang sehen läßt. Auch in Lebus sind noch die Anlagen einer ehemaligen Fähre zu erkennen, doch die Siedlung auf polnischer Seite ist verlassen und existiert nicht mehr. Dennoch denken die Behörden auf beiden Seiten des Flusses über die Wiedereinrichtung der Fähre nach. Sie würde der touristischen Attraktivität dieser Region sehr entgegenkommen.

Nach dem wir das Hochufer und die Oderhänge von Lebus hinter uns gelassen haben, wird die Landschaft flach und eintönig, was den hier lebenden Wasservögeln die unsere Fahrt begleiten irgendwie zu passen scheint.

Am späten Vormittag erreichen wir Kostrzyn/Küstrin den alten Verkehrsknotenpunkt in Richtung Pommersche Ostsee, Masuren und dem alten Ostpreußen, der gleich an zwei Flüssen liegt, der Oder und der Warthe. Hier mündet die Warthe in die Oder, dementsprechend viele Brücken muß es hier auch geben. Auch sie waren im zweiten Weltkrieg alle zerstört und wurden rasch, zunächst, aus militärstrategischen Gesichtspunkten wieder aufgebaut. Den Brücken sieht man ihre Reparatur und das zusammensetzen aus fremden Brückenteilen heute noch an, wenn man den Blick und die Kenntnisse dafür hat. Lange waren die Brücken und die Stadt militärisches Sperrgebiet und für den zivilen Grenzverkehr nicht zugelassen. Hier gab es bis 1990 eine sowjetische Garnison und erst nach deren Schließung begann sich der zivile Grenzverkehr hier wieder zu entwickeln und auch die hiesigen Brücken gewannen ihre Bedeutung für die Menschen beiderseits der Oder zurück. Kostrzyn/Küstrin ist heute ein touristischer Ort geworden, denn es beherbergt die Ruinen der alten preußischen Festungsstadt Küstrin, die einmal ein bedeutender Verkehrs- und Handelspunkt an Oder und Warthe war. Von

przystani promowej, jednak osiedle po polskiej stronie jest wymarłe i puste. Mimo to władze po obu stronach rzeki rozważają ponowne uruchomienie przeprawy. Miałoby to bardzo pozytywny wpływ na rozwój turystyki regionu.

Gdy mijamy wysokie brzegi i nadodrzańskie zbocza Lubusza, wpływamy w krajobraz płaski i jednostajny, co jednak zdaje się zupełnie nie przeszkadzać licznym ptakom wodnym, które towarzyszą nam w podróży.

Późnym popołudniem docieramy do Kostrzyna, dawnego węzła komunikacyjnego w kierunku na pomorski Bałtyk, Mazury i byłe Prusy Wschodnie, miasta leżącego nad dwiema rzekami – Odrą i Wartą. Warta wpada tu do Odry, na skutek czego muszą być tu liczne mosty. Wszystkie one również zostały zniszczone podczas drugiej wojny i szybko odbudowane, początkowo z powodów strategicznych. Po mostach tych widać wyraźnie, że były naprawiane i że są dziś złożone z różnych elementów, także z innych mostów – widać, jeśli chce się zobaczyć i ma się ku temu odpowiednią wiedzę. Przez długi czas mosty i samo miasto były strefą wojskową, wyłączoną z ruchu cywilów. Aż do 1990 r. funkcjonował tu garnizon sowiecki i dopiero po jego zamknięciu nastąpił rozwój cywilnej komunikacji nadgranicznej, zaś same mosty stały się ważne dla zwykłych ludzi po obu stronach Odry. Kostrzyn/Küstrin stał się dziś miastem turystycznym, przyciągającym pozostałościami dawnego pruskiego miastotwierdzy, niegdyś ważnego centrum komunikacyjnego i handlowego na Odrze i Warcie. Historycy-amatorzy i mieszkańcy często



Hobbyhistorikern und Einheimischen auch oft das „preußische Pompeji“ genannt, wegen seiner Versunkenheit und einstigen Bedeutsamkeit. Immermal wieder äußern verschiedene Interessengruppen die Absicht sich für den Wiederaufbau der alten Festungsstadt stark zu machen, um die Region wieder in ihre historische Kontinuität zu setzen. Aber das ist schon nicht mehr das Thema der Brücken über die Oder, oder nur noch im übertragenden Sinne.

Hier in Kostrzyn endete der erste Teil der Reise, der Sommerakademie auf der Oder – auf den Spuren von alten und neu geplanten Flussübergängen. Wir haben von Wissenschaftlern und Studenten während der Fahrt eine Reihe von Vorträgen über die Geschichte der Brücken und Fähren über die Oder gehört, die alle so spannend und interessant waren, dass sie einen eigenen Beitrag wert gewesen wären. Leider konnte der Autor dieses Beitrages aus zeitlichen Gründen nur an diesem Teil der Reise teilnehmen. Wenige Tage später wurde die Reise auf der Oder fortgesetzt, bis zur Mündung der Oder in das Haff und bis in die Odermetropole Stettin/Szczecin und dieser Teil der Reise versprach noch spannender zu werden, als der erste. Dem interessierten Leser sei an dieser Stelle eine Buchempfehlung anheim gestellt, die im direkten Zusammenhang mit der Sommerakademie auf der Oder steht. „Oder-Odra. Blicke auf einen europäischen Strom“ herausgegeben von Karl Schlögel und Beata Halicka, im Peter Lang Verlag, 2007. Dieser Band gestaltet das Thema der Sommerakademie noch weitgehender und tiefschürfender, aber auch unterhaltend und wissenschaftlich zugleich, eine vorzügliche Kombination.

Ich empfehle dieses Buch jedem Laien wie Professionellen, dem die Region und die Oder, als europäischem Fluß, am Herzen liegt und hoffe auch, das es recht bald in polnischer Übersetzung vorliegt.

nazywają to miejsce „pruskimi Pompejami”, bo tak jak tamte skłaniają do zadumy nad dawną świetnością. Raz po raz różne grupy interesów wyrażają swój zamiar odbudowania dawnej twierdzy, aby przywrócić regionowi i miastu historyczną ciągłość. Ale tu już odchodzimy od tematu nadodrzańskich mostów, pozostajemy przy nim co najwyżej w przenośnym sensie.

Tu, w Kostrzynie, kończy się pierwsza część podróży, letniej akademii na Odrze – śladami starych i planowanych przepraw przez rzekę. Podczas rejsu usłyszeliśmy z ust naukowców i studentów szereg wykładów o historii mostów i promów na Odrze, wszystkie tak frajujące i interesujące, że warto byłoby poświęcić im osobny tekst. Niestety, autor niniejszego artykułu z powodu innych terminów mógł uczestniczyć tylko w tej części podróży. W kilka dni później statek ruszył dalej, docierając aż do ujścia Odry do Zalewu, a potem do odrzańskiej metropolii – Szczecina i ta część podróży wydawała się jeszcze bardziej obiecująca, niż pierwsza. Zainteresowany czytelnik zechce być może sięgnąć do książki, która pozostaje w bezpośrednim związku z tematem Letniej Akademii na Odrze. „Oder-Odra. Blicke auf einen europäischen Strom” pod redakcją Karla Schlögela i Beaty Halickiej, im Peter Lang Verlag, 2007. Tomik ten pogłębia i poszerza tematykę Akademii, a jest napisany zarówno ciekawie, jak i rzeczowo, co stanowi znakomitą kombinację.

Polecam go zarówno laikom, jak i zawodowcom, którym leży na sercu ten region i Odra jako europejska rzeka; mam nadzieję, że pozycja ta zostanie wkrótce przetłumaczona także na język polski.

Tłumaczenie Grzegorz Kowalski

Pomiędzy

Na żdźble trawy
kołysze się kłos
- dopełnia się lato
Z kwiatu ostu
motyl spija nektar
- promień sięga w głąb
Wiatr i słońce
a pomiędzy my
coraz dłuższe cienie
S n y

* * *

Na Miejskiej Górze
starodrzew w objęciach wiatru
- jesień
Płowieją jeziorne trzciny
W alejce wiewiórka objada się
orzeskami buczyny
Pod butami przechodniów
szeleści czas

* * *

Na drodze
cień
każdego dnia

i n a c z e j

* * *

Zdziczała jabłoń jeszcze rodzi owoc
płot wsparł się o nią całutki w porostach
łás już powoli wchodzi do ogrodu
kołowrót zapadł się w cembrowinę
do której nocą zajrzy czasem gwiazda
ktoś kiedyś mieszkał tu i odszedł
klucz zardzewiały leży w trawach
i klamka która drzwi już nie uchyli
Taka jest kolej zdarzeń

* * *

Idę brzegiem
- jezioro we mnie

* * *

Pierzaste chmury
Przed zmianą pogody
- ulotna poezja

Sen pisany w sierpniu

Dni w Polsce (początek sierpnia)

Trudne dni. Trudne codzienne sprawy. Zasmucające. Powoli już nie wiadomo, o co w tym naszym życiu w Polsce chodzi. Brudna ta walka. Kilka miesięcy temu byłem większym optymistą. Teraz skonfliktowanie sfery publicznej przybrało dawno nie notowany poziom. Jednego dnia nasi wybrańcy chcą dobrze dla kraju, więc niby deklarują, że wzniosą się nad przyziemne kłopoty i różnice zdań, a już kilka godzin później pojawia się kolejna eskalacja oskarżeń, pretensji i niezgody. „Kłamstwa i oszczerstwa”. A w międzyczasie wyjazd na Jasną Górę. Raz jedni, a raz drudzy. Gorszące to. Tak można przegrać coś niesłychanie ważnego. Do czego prowadzą kłótnie, to już wiemy. Dobrze, że jeszcze są zwyczajni, normalni ludzie, którzy chcą uczciwie pracować, zachowują miarę i przyzwoitość, i nie dają się wciągnąć w ten bałagan, bo inaczej nie dałoby się już chyba wierzyć w cokolwiek.

Iwaskiewicz

Kontakty z wielkimi po latach zmieniają się w mit. W miarę upływu czasu utrwala się jego znaczenie. Tak też ma się rzecz z poznaniem Jarosława Iwaskiewicza. Do tego szczególnego momentu z sentymentem wracam. Miało ono miejsce w czasie – można rzec – prehistorycznym, kiedy to jako licealiści publikowaliśmy – ja i Mieciu – pierwsze teksty w gazetce szkolnej, którą prowadził

Bolek Jurkiewicz - chłopak o wybitnych uzdolnieniach w przedmiotach ścisłych, ale o duszy humanisty. Ukończył studia politechniczne we Wrocławiu. Niestety już nie żyje. Któregoś roku do Zielonej Góry, w związku ze zjazdem pisarzy, przybył Iwaskiewicz. Obrady miały miejsce w Sali Kolumnowej Urzędu Wojewódzkiego. Siedzieliśmy bezpiecznie w ostatnim rządzie. Jako młodzi poeci dostaliśmy też kartki na obiad. Poczuliśmy, że jesteśmy ważni. Z trudem wysłuchaliśmy tych nudnych w naszym przekonaniu przemówień i co jakiś czas nie mogliśmy powstrzymać się od śmiechu. Nawzajem się zresztą do niego zachęcaliśmy. Zresztą z wielu spraw w tamtych latach lubiliśmy się śmiać. A w czasie tego zjazdu pisarzy było nam śmieszno z powodu tej, oczywiście słusznej, celebrowanej oficjalnie, zjazdowo, powagi i dostojności. Pamiętam głos Juliana Przybosa, celujący każdym słowem w dobitność, także głos Iwaskiewicza, który wystąpił na samym początku. Emanowała z niego refleksja, rozwlekłość, zamyślenie, rozważa, szerokie doświadczenie życia. Także głos Bolesława Solińskiego, lirycznego poety i redaktora „Nadodrza”, który mimo zainstalowanego nagłośnienia prawie nie dobiegał do naszych uszu, jakiś taki bez mocy, ściszony, zgaszony, jakby to był szept raczej, zapadający się w siebie. W samo południe, w czasie przerwy na obiad, nagle pojawił się Bolek. Jak zawsze pełen energii. Zobaczył nas i powiada, chodźcie ze mną, zaraz przedstawię was mojemu wujowi. Nie bardzo chcieliśmy, ale ulegliśmy

namowie. Onieśmieleni towarzyszymy naszemu koledze. Iwaszkiewicz stoi w towarzystwie innych pisarzy, jakichś władz województwa. Bolek podchodzi do pisarza z nami, i pyta wprost, czy wujka przyjdzie dzisiaj do nas na obiad, co tamte oficjalne osoby zauważają. Iwaszkiewicz zwraca się nieco bardziej w jego stronę, tłumaczy, że chciałby, ale ma tu takie różne obowiązki i widać wyraźnie, że się waha, z boku ktoś bacznie to wszystko obserwuje, chyba słyszy tę rozmowę, kontroluje to całe zajście i w tym momencie niemal wtrąca się energicznie z pytaniem, „czy pan prezes będzie jadł z nami obiad”. Iwaszkiewicz wykonał wobec Jurkiewicza coś w rodzaju gestu bezradności, który mówi sam za siebie, jakby domagał się zrozumienia. Wtedy zostaliśmy przedstawieni wielkiemu pisarzowi jako młodzi poeci, koledzy z liceum. Jakoś natychmiast Iwaszkiewicz wypogodniał, rozluźnił się i dobrotliwie coś powiedział do nas, patrzył uważnie, pogłaskał nasze chłopięce czupryny, czegoś życzył, i życzliwie zachęcił, by wiersze mu kiedyś przysłać na adres „Twórczości”. Jeszcze długo później z Mieciem komentowaliśmy ten moment, bo czuliśmy się bardzo zaszczyceni, jakby wzięci do nieba. Trochę czasu musiało upłynąć zanim uciły nasze emocje. W niedługim czasie wysłałem do Warszawy trzy lub cztery wiersze. Licząc oczywiście na druk, ale przecież jeszcze nie były do druku w tym piśmie. Po kilku dniach Iwaszkiewicz odpisał, ręcznie, niebieskim atramentem, na papierze w kratkę, że przeczytał, chłopcze, czemu takie smutne, żeby znowu kiedyś coś przysłać, i prosi by zawsze o nim pamiętać. To jedno, ostatnie zdanie wywarło na mnie największe wrażenie. Przeniknęło mnie. Napisał tak osobście jak nie człowiek z piedestału, ale ktoś czujący zwyczajność życia. Ceniący autentyczność i prawdziwość ludzkich relacji. Teraz to zdanie, kiedy je przywołuję, nakłada się na nostalgię późniejszych wierszy Poety, zwłaszcza tych rozpaczliwych, wstrząsających z „Mapy pogody”, dających się wielokrotnie czytać, przyjmować przenikający je smutek i metafizyczny niepokój. Taki mam w sobie tamten obraz. Który już stał się snem.

Zawsze

Zawsze jesteśmy coś komuś dłużni. I te nie spłacone, zaciągnięte zobowiązania czasami pozwalają nam dźwigać codzienne ciężary. I iść z nimi nawet ku górze.

O książce oraz o moim ojcu

Każda rzecz lub przedmiot, a nawet zjawisko, ma swoją godność. Coś znaczy. Skiby ornej ziemi błyszczą mokrym, czarnym światłem. Chodzą po nich ptaki. Lubię doznawać tego uczucia kiedy stopy zapadają się w grząskiej glebie. Ojciec nieco pochylony, cierpliwie idzie za pługiem. Raz po raz zatrzymuje się i ociera pot z czoła. Koń też jest spocony. Jest już późne, jednostajne popołudnie. Na stawie kładzie się blask. Jabłoń kwitnie i domaga się podziwu moich oczu. Poniszczona, odarte z tynku fasady domów skłaniają do zadumy. Wchodzi do domu chłopiec, wychodzi kobieta. Stoi wiadro pełne wody. Myśli gdzieś biegną. Ile to lat później wokół mnie tysiące piętrowych domów, niezliczone ulice, place, tramwaje, auta, podziemne przejścia, szyby wystawowe. Wszyscy dokądś biegną. Muszę wyteżać uwagę, aby rozumieć słowa. Jakaś kobieta w parku na ławce czyta książkę. Patrzę na nią przez kawiarniane okno. Mam dwadzieścia trzy lata. Widzę także rozgadaną gromadkę wróbli w pobliżu. W młodości kawiarnie były dla mnie bardzo ważnym miejscem, lubiłem w nich bywać z rana, bo były najczęściej prawie puste i ich klimat dobrze sprzyjał mojemu natchnieniu. Nikt i nic nie zakłócało szukaniu odpowiednich zdań. Tu pisałem wiersze, poprawiałem je, kelnerka tylko od czasu do czasu przynosiła kolejną herbatę lub kawę. Czasami się do mnie uśmiechnęła. Przeszronne wnętrza, ciepłe zimową porą, zapach parzonej kawy, światło wpadające z ulicy, sącząca się skądś muzyka, wszystko to stanowiło namiastkę otwartego, nowoczesnego świata. W Zielonej Górze i we Wrocławiu spędzałem w nich najczęściej samotnie wiele godzin. Tak przy pomocy marzeń oddalałem gorycz. Ku czemuś nowemu chciałem nieść swoją wieś, swój dom. Stąd

wiem, że nie może być mowy o dowolnym traktowaniu czegokolwiek w życiu ani w poezji. Nawet śnieżnego puchu, który utrzymuje się na metalowej poręczy. Niektórzy jednak patrzą bez zdziwienia na zimowe чудо i nic nie widzą. Miotłą zgarniają delikatność świata. Jakby im niczym była. I przeszkadzała w życiu. To, co naprawdę znaczy. Podstawowe znaczenia dają się kształtować, dostosowywać do sytuacji, ale pewien ich zakres, nie podlega zmianie. Bo to świadczyłoby, że nie obowiązuje ustanowiony porządek i wszystko jest możliwe, każde prawdopodobieństwo. I uprawnione byłyby naprawdę różne przykre rzeczy, świadczące o kultywaniu chaosu. Już tego doświadczaaliśmy. W ustalonych cechach, w powtarzającym się nieskończenie wiele razy (codziennie) akcie ich akceptowania lub negowania i ustalania tożsamości, którym towarzyszy takie a nie inne spojrzenie, zapisana jest głęboka intymność ludzkiej relacji, jaka łączy człowieka z rzeczywistością. Przez całe jego życie, ba, przez wiekowe dzieje. Kamienna ławka jak dawniej tak i dzisiaj jest kamienna. Nic się nie zmieniło. Barwa, smak, dotyk, dźwięk. Zapach włosów, kolor oczu. Od tego nie da się zrobić sensownego kroku, który nie brałby tych wartości pod uwagę. Udowadniają to malarskie studia martwej natury wszystkich mistrzów. Właśnie oglądam taki album. Stół, talerz, jabłka, winogrona, skrzypce, szuflada wysunięta z szafki. Wpadam na zdanie Prousta: „gruszka może być równie pełna życia jak kobieta”. Nawet smuga światła nie jest wytrawiona z sensu. Czynności wykonywane wobec przedmiotów i z przedmiotami, zawsze wiele zdradzają. Dobrzy pisarze potrafią to uchwycić, czasami wiele mówi już jakiś niuans, szczegół, tak, że opis dotyczy tego, co dzieje się we wnętrzu człowieka. Świadczy wtedy o tym wszystkim co zachodzi w sferze duchowej. W obszarze kultury powszechnej lub w jednostce. O zaniku duchowego ja, degeneracji lub niepokojącym skrzywieniu. To, co dzieje się z przedmiotami, dzieje się z kulturą. Najpierw burzono świątynie, palono książki, zakazywano czytać, posiadać je, pisać, zamykano do więzień poetów, zabijano ich, a później masowo palono

ludzi, wieszono ich w mrozie bydłęcymi wagonami, osądzano niewinnych na podstawie kłamstw i ideologii lub na podstawie prostackiej fikcji. Preparowano dowody. Ludzie znikali bez wieści. O niektórych przedmiotach myślę w sposób szczególny, z poczuciem istotnej akceptacji, mam do nich stosunek niemal braterski. Traktuję je jakby były żyjącymi istotami, którym należy się jakiś rodzaj czci. I codziennej troski. Myślę, że tak trzeba postępować, bo to warunkuje możliwość zachowania odrobiny szacunku dla samego siebie. Rozumiem tych, którzy wydobywają z ziemi wojskowe guziki z polskimi orzełkami po żołnierzach zamordowanych w Katyniu. Wszystko jest potrzebne. Świat nie jest śmieciem. Świat jest rybą. Wzruszają mnie stare po ojcu buty, już na nic się nie nadające, marynarka, okulary lub kolorowe chustki na głowę po mojej mamie. Różnorakie narzędzia rzemieślnicze, których ja nie będę używał. Są jak relikwie. Przecież nie mogę ich wyrzucić. Potrzebność lub ich niepotrzebność nie jest tu dla mnie argumentem. Opowiadają szczegółowo także historię mojego życia. Nic nie jest zbyt cenne, obojętne, puste. Dawni ludzie o tym wiedzieli lepiej niż my dzisiaj. Obcowali z duchami umarłych, nie skreślali ich z listy obecności w momencie śmierci. Butom mojego ojca i książeczce mamy też należy się częśćka wieczności. O to tylko zabiegam. Co prawda nie wystąpią na żadnej aukcji, podczas licytacji. Zużyte, stare. Bezradne. Nie w tym rzecz. Rzecz jest we mnie, w moim śnie. Chcę się bronić przed nicością i relatywizmem tego czasu. Nie nakręcę starego zegarka po ojcu. Nie potrzeba. Niech odpoczywa w szufladzie, już dosyć spracowany. Ale mam ten zegarek. Poniekąd nadal wyznacza rytm czasu. On ma w moim domu swoje ustalone miejsce. Jeszcze szafka z dawnych lat, obraz, przed którym klęczałem, łyżka. Tak się zebrały dobre rzeczy, duchy opiekuńcze. Czasami rozmawiam z nimi. Dobrze mi przywoływać te klimaty. Także na przykład opowieść ojca, z czasów wojennych, wyjaśnia mi dlaczego żyję, choć seria kul pewnego zimowego wieczoru została za nim posłana. Mógł być jeszcze jednym zabitym. A wtedy nie siedział-

bym tu, przy tym biurku, w dzisiejszy sierpniowy wieczór. O tym często myślę, że nie jesteśmy sami, tylko wypada oczy otworzyć, aby tę obecność wokół siebie potwierdzić. W zdaniu zapisanym na kawałku kartki bije serce mojego ojca. Który w przeszłości zrobił skrzypce, grał na nich, później grał na nich miejscowy nauczyciel. Wszystko to nie do zlekceważenia. W przedmiotach zatrzymane jest życie. Kiedy podniosłem w Turkmenii kawałek ceramiki, mającej setki co najmniej lat, zdałem sobie z tego tchnienia sprawę. Kosmiczna przeszłość stanęła przed moimi oczami. Szumiał ocean głosów. I czułem się wyróżniony, że ten mikroskopijnej wielkości fragmentek tamtego świata ocalam. Tylko tyle mogę. Dotknąć śladu czyjegoś życia. Śladu po kimś. W świecie przedmiotów książki pełnią wyjątkową rolę, i nie trzeba tego udowadniać. Stąd zawsze, kiedykolwiek proponowano mi opracowanie jakiegoś zbioru wierszy lub antologii, to garnąłem się do tego zadania z zapalem. Największymi rozmówcami są przecież książki. Wszystko mija, a one świadczą. Dzięki nim świat przyspieszył kroku. Tak jak dzisiaj dzięki Internetowi. One rozstrzygały, podpowiadały, co i jak należy czynić. Stanowiły argument w podejmowaniu decyzji. Władcom towarzyszyły księgi. Były jak wysokie wieże z daleka dające wędrowcom orientacyjne znaki. Czyż nie czuli się dostojniejsi mając świadomość, że na kartach zostaje ich imię i ich słowa, ich postanowienia. Wyroki. Oprawa, liternictwo, iluminacje, złocenia podnosiły ich materialną rangę. I rangę zawartych treści. Ten ciężar jako wartość zawsze można odczuć. Stary wolumin, to stary wolumin, magia, dzieło sztuki, dlatego nie dziwię się, że niektórzy dopuszczają się przestępstwa. Zdarza się, że to przestępstwo jest zwykłym barbarzyństwem, gdy ukradzione w muzeum bardzo stare mapy, wyrwane ze słynnych atlasów, przeznaczają się na abażury do nocnych lamp. Dla mody i szpanu. O, niech będą przekleci tacy miłośnicy starych książek. Którym podniętą do życia są ciemne interesy. Krzywda innych. Z książką zawsze wiąże się powaga życia. Jego wyjątkowość i niepowtarzalność. Tajemnica.

Toteż nawet gesty wykonywane wobec książki mają znaczenie, a cóż dopiero konkretne działania. Kiedyś to było sacrum, dzisiaj zmerkantylizowany towar. Mnie nauczono albo sam to przyjąłem jako oczywistość, że miejsce dla książki musi być inne niż pozostałych rzeczy tego świata. Wiele z tym się łączy. Wiele. Choćby czyste, umyte ręce. Osobny czas, światło. Cisza. Mój ojciec po kilku godzinach pracy, w pokoju obok kuchni, z powodu pojawiających się bólów kładł się na ławce. Czekając na ulgę, czytał swojego Kraszewskiego lub Sienkiewicza. Wcześniej mył ręce, brudne od smolonej dratwy i skórzanych, końskich uprzęży. Leżał nieruchomo, obserwowałem go czasami, tylko ruch oczu za szkiełkami jego okularów zdradzał, że jego uwaga podąża za biegiem zdań. Po około godzinie wstawał, kładł książkę na wysoko usytuowaną półkę. I dalej naprawiał uprzęże, bo gospodarz mógł po nie przyjść w każdej chwili. A mój ojciec był człowiekiem słownym, rzetelnym, gdy dał komuś gwarancję, dotrzymywał terminu. Dlatego mieliśmy chleb w domu. Kupowaliśmy naftę do lampy. Pokonywaliśmy chaos. Nie potrafię inaczej się wobec książki zachować. Tworzenie bibliotek, również tych mniejszych, domowych, zakwalifikowałbym do kategorii czynności sakralnych. Pięknych, wiodących na schody szlachetności. Istnienie książki do czegoś zobowiązuje. Musi być zagwarantowana jej godność. Bo w końcu w książce zapisany jest jakiś świat. Mniej lub bardziej, ale tu rozstrzygają się losy człowieka, tu świątynia ducha. Trzeba litera po literze przejść wszystkie jej tajemne ścieżki, kartki, rozdziały, ilustracje, noty redakcyjne, daty wydania, żeby ostatecznie dla siebie zrozumieć, doznać olśnień i zamyśleń. Jak w sennym ogrodzie, w którym piękno istnienia z każdym krokiem inaczej się śni. Może dlatego przez całe lata siedemdziesiąte ciągle wędrowaliśmy z Jankiem Stolarczykiem po Wrocławiu, od księgarni do księgarni lub antykwiariatu. Zwłaszcza często zachodziliśmy do antykwiariatu w Rynku, choć również i do mniejszego, w którym panowała ciasnota, leżały sterty różności, obok gmachu Uniwersytetu. Poszu-

kiwałem współczesności i zamierchłego czasu. Pracowali w tych miejscach obeznani z przeszłością świata wiekowi antykwariusze, prawdziwi znawcy i miłośnicy. Prawie całkowicie zanurzeni w sensnym świetle liter. Zawieraliśmy z nimi, i z innymi księgarzami, znajomości, by wpisać się w ich pamięć. Niektóre bowiem tytuły z trudem były osiągalne. Deficytowe. Zwykle nie zawodzili nas. Pamiętali i coś zawsze wydobywali dla nas spod lady. To doświadczenie, to jedno z ważnych doświadczeń poszukiwania świata. Oznaczało wejście w obszary piękna, które nasycalo nam młodość. Gdy przyjeżdżałem do domu w Zawadzie, zabierałem ze sobą zawsze kilka bliskich mi wtedy książek, niektóre polecałem swojemu ojcu. Pod koniec życia, kiedy był już bardzo zmęczony, osłabły i po prostu widać było, że gaśnie, ciężko oddycha, schorowany, jeszcze wziął do ręki Mity Greckie. Nie wiedziałem, że będą jego ostatnią lekturą. Jeszcze wolnym krokiem w lutowy, ale niezbyt mroźny dzień wyszedł przed dom w swojej brązowej marynarce, rozglądał się dziwnie wokół, mglisto świeciło słońce, przybliżone do horyzontu, chciał nabrać, ile się tylko dało, jak najwięcej tego świata, widzenia krajobrazu, pobliskiego sosnowego lasu, nagich akacji, widoku oszronionych dachów i zapewne też widoku ścian naszego niskiego domu, złożonego z jednej kuchni i pokoju, w którym mieszkaliśmy w pięć osób wiele lat. Później odjechał w wieczność wiejskim, gospodarskim wozem, zaprzężonym w dwa konie. Pozostały mi w uszach jego słowa z ostatniej sekundy życia: „jeszcze chciałbym żyć”. Ta nieuniknioność tamtego zdarzenia przenika mnie do głębi. Powiewa jak choraśmiew trwania życia i przemijania. Zapisuje się strona po stronie. I nie jest fikcją. Książka czytana w parku, gdy kwitną bzy, później jaśminy. Książka w ręce smutnej kobiety, zakochanej dziewczyny, co chwilami patrzy przed siebie i nie dostrzega czegokolwiek. Krzewy bzów kwitną. Zawsze mnie ciekawiło co, kto czyta. Jak wysoko niosą skrzydła. Ach, książka czytana wśród pól i delikatnych powiewów wiatru, nad którą ktoś płacze. Książka, którą się kocha.

Pocieszycielka w utraپieniu, zdobywczyni nieznanego, przyjaciel, lekarstwo. Książka na stole. To już inny stół. Inny dom, budzący zaufanie. Nie wypada zakłócać tego porządku. Każdy dom potrzebuje książki. Rozmowy o niej. Książka w określonych momentach symbolizująca samym swoim istnieniem dramat czasu. Czyż nie zachował się w naszej pamięci wstrząsający obraz Księgi Nowego Testamentu, położony na trumnie Jana Pawła II, na placu Świętego Piotra, gdy wiał silny, kwietniowy wiatr. Patrzyłem i widziałem tę symboliczność. Zwłaszcza ten niesamowity wiatr dramatycznie ją targający. Wobec zasmuconych na Placu i wobec całego świata. Wymowny wiatr ostentacyjnie przewracający jej karty, który na koniec zdecydowanie ją zamyka i tak już do końca ceremonii pozostaje przed oczami ludzi. Tego obrazu nie zapomnę. Symbolizowała sytuację ducha człowieka w naszych czasach. Bez jednego słowa, jak wcześniej, kiedy On stał w oknie Biblioteki, tym samym co zawsze, i nie mógł wydobyć głosu, ani jednego słowa, wstrząsająco człowiekowi został dany znak. Czasy idą coraz ciemniej. Zanika bezinteresowne myślenie o wartościach, a górę bierze kalkulacja merkantylna, chęć osiągnięcia zysku za wszelką cenę, bez oglądania się, czy to jeszcze ma cokolwiek wspólnego z przyzwoitością czy już nie ma. Czasy idą coraz ciekawsze. Obłądne. Po połamanych mostach. Książki ważne przegrywają z przeogromną ilością tytułów kultury masowej, łatwej i przyjemnej. Czy może być inaczej. Nie sądzę. Chorym brakuje sił. A innym odwagi i determinacji wędrowania w samotności. Nie wszyscy są w stanie poddawać się wnikliwemu zamyśleniu i subtelnie przeżywać. Dobry artysta, to elitarny artysta, nie inaczej. Kim będziemy i jakie okażą się następstwa tych zjawisk, to jest nawet dobre pytanie. Jeszcze, może to dowód na moją staroświeckość, nie potrafię sobie wyobrazić, by z książką można było postępować niegodnie. Ją samą pozbawiać, a zarazem samego siebie, szacunku. Książka wychodzi naprzeciw czytelnikowi. Sprzedaje się ją nie tylko w księgarniach, tradycyjnie już na ulicy, na straganach, co sympatycznie

wygląda nad Sekwaną lub w Krakowie. Jest także w kioskach z gazetami, w teatrze, kościele, na spotkaniach z pisarzami, to wszystko jeszcze da się zaakceptować, bo jest nawet sympatyczne, piękne. Ale już absolutnie nie wyobrażam sobie stoiska w sklepie rzeźniczym, pośród kości i krwistych mięs, tudzież wędlin, ani w sklepie z chemikaliami, proszkiem do prania, ani z alkoholem. No cóż, nie potrafiłbym tego zaakceptować. O czym to ja piszę. A tu, tymczasem, ku swemu zaskoczeniu, żeby nie powiedzieć, osłupieniu, zobaczyłem w pewnej miejskiej ubikacji tomiki poezji, wyłożone do sprzedaży. Na stoliku obok papieru toaletowego, mydła, ręczniczka, ładnie wyłożone, w odległości dwóch, trzech metrów od pisuarów i kabin, do których podążają panie i panowie. Mogą, oczywiście mogą, sobie kupić zbiorok miejskiej poetki (P., J. lub innej) przed udaniem się na „posiedzenie” lub już po. Nie zamierzam sobie niczego wyobrażać, bo wszystko to jest ohydnie dwuznaczne, niegodne, ale cóż, komuś to widać nie przeszkadza, nic nie przeszkadza. Pani zadowolona w tym ciepelku, rozpakowuje z folii swoje śniadanie. Popija herbatką. I przelżykając kęs za kęsem poleca towar. Tak właśnie wygląda upadek kulturalnego obyczaju. Umberto Eco pisząc eseje o Bibliotece przytacza opinie nie przewidujące funkcjonowania toalet właśnie w bibliotekach, bo nie przystawałoby takie sąsiedztwo do powagi świątyni myśli. Zapewne byłby zgorszony widokiem, który zobaczyłem. Co ja mówię, nie chciałby w takim mieście nawet stopy postawić.

W południe

Delikatnie w ciepłe południe dzwonią w Zawadzie na wieży kościelnej dzwonki. Każdy dźwięk wyraźny. Tworzą nawet jakąś muzykę. Słyszę je i tę ich muzykę. Taki wzruszający moment. Wzniesiony, który usiłuje ogłosić to, co obejmuje. Moment jednak samotny w świecie. Jakby przeciw niemu sprzymierzało się wszystko. Z zamiarem zniszczenia tego, co niepodobne do całej reszty rzeczywistości.

Pasikonik

Pasikonik zielony, jaki występuje w Polsce, nasz muzykant popularny, samouk, co się skrywa w trawie i zbożu ze swoim graniem, wpadł przez otwarte okno do pokoju. Duży okaz. Zatrzepotał w mojej garstce, wyszedłem z nim na taras, gdzie uwolniony poleciał na wietrze w stronę starej jabłoni. I takiemu owadowi cudowne to zapewne uczucie odzyskać wolność i pozbyć się strachu.

Ścieżka

Z uwagą stawiam krok za krokiem. Poznaje jak to jest, kiedy ścieżka coraz węższa. I owocami dnia przychodzi mi nazywać kamienie.

Daleko w polach

Zerwałem łodygę trawy. Rozglądałem się wokół. Senne, pełne światła pola. Dojrzewa ziarno. Nie trzeba nic więcej. Znam zieloną trawę. Opiekunkę ziemi, która leczy zadane jej rany. Wpisywała się w moją biografię każdego dnia w dzieciństwie. Jej zapachy, miękkość, chłód i wilgoć codziennie mówiły do mnie. Wyczytywałem w jej źdźbłach i kłosach sekretne obietnice. W roziskrzonych kroplach rosy objawiała się tęcza. Lubiłem schować się w wysokiej trawie przed światem. I leżąc długo patrzeć na niebieściutkie niebo. Na obłoki, jaskółki, motyle. Grzało słońce, gryzły owady, opowiadałem sobie historie przyszłego życia, które dopiero będzie. Ale cóż mogłem wiedzieć. Tylko to, że jest ciepło i za chwilę wrócę do domu na obiad.

Tak najlepiej

Najlepiej pisać o kwiatach. Niewątpliwie. Bo nikt nie będzie miał pretensji. Twierdzi M. Poniękad słusznie. W końcu zasługują na to ze wszech miar. Cóż może im dorównać. Będącym wzorami piękna, źródłami natchnienia. Napisać jednak tak, by rzecz zaważyła na wieki. I z ich powodu narodził się nowy człowiek.

Jak wtedy

Gdyby znalazł się człowiek, który niósłby światu pozytywną wizję, to i tak nikt go nie posłucha. Znajdą się powody, dowody, taśmy, podpisy, donosiciele, zeznają odpowiedni świadkowie, by można go było oskarżyć. I oskarżą go wszyscy. W krzyku, w natarczywości, wytykaniu palcami, opluwając i śmiejąc się głośno, poprowadzą przed kamery. I każdy w swoim domu zobaczy jego winę. A on nie będzie umiał się obronić. Dzisiaj wszelka propozycja dobra jest w niebezpieczeństwie. Mocni i liczni są jego przeciwnicy. Jak wtedy, dwa tysiące lat temu.

Ma się wyjaśnić

W wielkim świetle, w jego blasku, już niedługo ma się wyjaśnić, która z gwiazd, szybko wschodząca czy ta, która już wysoko świeci, wypadnie bardziej seksownie. Wydatny biust lub nabrzmiałe od kolagenu usta. Bilety na koncert wiele dni wcześniej zostały wyprzedane. W domach, przed ekranami telewizorów, z zapartym tchem, rywalizację obserwować będą miliony widzów. Emocje sięgną zenitu. Takie to problemy ekscytują współczesnych, co wypada odnotować.

Co jeszcze powiesz

Śmierć chodzi po świecie. I zgarnia ludzi, gdzie tylko się da. Gdzie się jej to podoba. Ulice, bazy, autostrady, pustkowia są dla niej odpowiednie. Żadną okazją nie gardzi. Krzyk, to jej hymn.

Sen

Wiem, że to był sen. Ale wszystko w nim było prawdziwe. Widziałem ogień idący z nieba na ziemię. Na kilka sekund w tym śnie otworzyła się ognista rzeczywistość, co wprawiło mnie w niepojętą trwogę. Taką, jaką zapewne zaznaje się w momentach ostatecznych.

Pisanie

Zauważyłem, że pisanie poezji pomaga przy układaniu prozy. A poezja wzbogaca się przenikającą ją prozą, która w jej objęciu się rozświecła.

Patrzę

Przeszłość to sen. A była przecież żywa, konkretna, dotykalna realność. Jadłem, biegłem zdyszany, bałem się czegoś. Umierałem z żalu. Gubiła się miłość. Tak po prostu, zwyczajnie. Skazany na margines. Kiedy myślę o przeszłości nie ogranicza mnie czas ani przestrzeń. Otwieram jej drzwi, kiedy tylko chcę. Dzisiejszy dzień, to też sen, tyle że mało wyraźnie jeszcze to widać. Ale już jutro odczyta się więcej. Większą daremność. Już wiem.

Liście

Liście hortensji, wyraźny ich rysunek w ciemnej zieleni, duże, rosną w cieniu. Liście brzozy, które mogą być lekarstwem, liście winogron, jedyne w swoim rodzaju, liście klonu jesienią dające światu złocistą opowieść, liście czereśni, kiedy na chodniku pomarańczowo się ułożą i przez chwilę płoną. Cóż można powiedzieć o liściach. Upadną. Tak jak i my.

Poeci

Czy można sobie wyobrazić coś bardziej okrutnego i zarazem piękniejszego niż klęska poety. Wtedy, kiedy świat zabija jego poezję, kiedy już nie ma sił niczego z siebie wydobyć, gdy nadaremność wytrąca mu pióro z ręki. Niby to osobista wyłącznie sprawa. Jednak nieosobista. Bo klęska poety, to również klęska czasu, w którym żyje.

Jeszcze

To jedno z najbardziej optymistycznych słów. Podtrzymuje nadzieję na istnienie. Jest w nim pragnienie obecności świata i przypomnienie, że policzone są dni i kroki. Niczego nie kończy, potwierdza trwanie, zapowiada jakiś

ciąg dalszy, nawet jego konieczność. Jeszcze. Wyraża żądanie i pokorną prośbę. Zawiera w sobie nakaz wytyczania kolejnych etapów życia, zarazem przestrzega przed lekceważeniem, zbytnim lekceważeniem bieżącego momentu. Przynależnym mu praw do istnienia. Może być argumentem w staraniu się o swoje racje. Może nawet kosmosem rządzi to słowo. Aż się kiedyś wszystko skończy.

Im dalej

Siedzimy pod wieczór w sierpniu gorzkim. Na ławce pod czereśnią. Nie czekamy na nic. Powietrze duszne, wilgotne. Będzie burza. Pamiętamy o klęskach świata, które idą nieustannie, nie omijając żadnego kraju, domu, człowieka. Powodzie i pożary. Katastrofy. Pijemy powoli piwo. W taki wieczór najlepiej smakuje. I tak mówimy niby to żartobliwie, a niby poważnie, że im dalej od Ziemi, tym szczęśliwiej. Z czym wypada się zgodzić.

Już tylko żyję

Bez obiecywania sobie, że uda się jeść owoce, których jeszcze nie znam. Co jeszcze może być dane. Miejsce jedno i to samo. Osłabła wiara, zetlałe nadzieje. Samotna kartka. Piękno ślepej ulicy. Ciemny przedpokój. A więc bez złudzeń. Powiewy wiatru wyjaśniają, że to dopiero początek zdobywania wiedzy o tym, co trwałe i zupełnie nietrwałe. Co już do końca będzie ze mną.

Drzewo

Wyszedłem przed dom, chwilę patrzyłem na drzewo w obfitości liści i młodych, tegorocznych pędów. Tak silnie rosną. Wśród nich ptasie skrzydła i jednostajne pośpiewywanie. Wróciłem do domu, odkręciłem kran z wodą, nastawiłem na herbatę, otworzyłem okno. Nic ponadto.

Jesteśmy

Jesteśmy jak śnieg, który spadł i zaraz zniknie. I za chwilę nikt już o nim i o nas nie

zechce pamiętać. Ani o tym za kogo to próbowaliśmy się uważać.

Miesiące

Mijają miesiące. Kogoś już dawno nie widziałem. A on każdego dnia umiera. Oddycha z trudem. Zmieniony. Patrzy długo w jeden punkt na ścianie. I próbuje sekundy i godziny rozciągać w wieczność.

Tylko

Tylko naiwnym poetom nigdy nic nie przeszkadza. Mogą pisać i pisać. Niemal bez wysiłku. Ale oni proponują jedynie słowa. Nie świat ani doświadczenia. Ekscytuje ich sama czynność tworzenia, bo wydaje im się, że z powodu ładnie brzmiących słów świat będzie lepszy. A to przecież nieprawda.

Przyjaciel

Kiedy ktoś mówi bezinteresownie, to znaczy, że to dobry człowiek. Jakby nie chciał zatracić proporcji, ale dojść do sedna, a już zwłaszcza nie zaszkodzić. Czy jeszcze trafia się ktoś taki? Nie podnosi głosu, nie zdradza złych emocji. W jego zachowaniu można dopatrzeć się zdolności obrony i bycia sprawiedliwym. To ważne. Objawia swoim istnieniem coś wręcz ponadludzkiego. Niejako gwarantowanie własną osobą wartości czegoś lub kogoś. Jeszcze nie wszystkich pochłonęła bezgranicznie zawiść i chęć szkodenia, dezawuowania, zwyciężania, dopatrywania się za wszelką cenę jakichś cieni. Jakby na przekór tym, którzy o nikim już nie mówią dobrze.

Pytanie o człowieka

Jakiego człowieka rodzi nasza współczesność. Jakie są oczekiwania, ważne wzory, drogę wytyczające idee

Było, minęło

Jednak przeszłość raz po raz coś podrzuca. Mocno zabolę albo przyprawi o poczucie

wstrętu. Jedni próbują ją wyprzeć z pamięci, nagle jakoby ogarniała ich całkowicie amnezja o pewnych (niepewnych) sprawach i dokonaniach, inni, ci poszkodowani, skrzywdzeni, chcą niektóre szczegóły wyjaśnić. Tego domaga się poczucie prawdy. I choćby prawo do moralnego zadośćuczynienia. Ktoś czytał na czyjeś miejsce, ktoś przed kimś to zataił. Ktoś kłamliwie patrzył w oczy. Pozbawiał pracy, uniemożliwiał awans społeczny. Ktoś sprzedawał. Dzisiaj chce uchodzić za porządnego, pryncypialnego człowieka. Obwieszcza, że jest niewinny. To nie on. Czasem jednak nie wytrzymuje i jakby plując w twarz, kpiąco wyrzuca z siebie inwektywy w rodzaju: „konfabulacja, mistyfikacja, obsesja osaczenia”, czyli jak się da, to jeszcze raz uderzyć, zaszkodzić. Jak ranne zwierzę. Dziwię się, że nadal potrafi być człowiekiem przewrotnym. Mógłby choćby milczeć. Bo przecież czegoś powinny nauczyć historyczne przemiany,

liczne doświadczenia i wiedza o czasie, w którym się żyło. Gdyby był w stanie przyznać, że był tym kim był i przeprosza, to udowodniłby swoją odwagę i potęgę prawdy. Ale nie wychylił się ze swej nory. Opór przed zbliżeniem się do prawdy jest silny, niektórzy (wydawać by się mogło światli ludzie, którzy autentycznie swoje wycierpieli) to dążenie starają się przedstawić w jak najgorszym świetle. Nie jako oczyszczenie. Wręcz jako rodzaj szkodnictwa. Tego nijak nie potrafię pojąć. Jeśli ci pierwsi nadal bronią się przed nieprzyjemnym zapewne zdemaskowaniem, to drudzy? Jaki mają w tym interes? Jeśliby rozumowaniu tych drugich (na szczęście są w mniejszości) przyznać rację, to na cóż w Polsce cała ta rewolucja społeczna, moralna, która się bezkrywo dokonała. Czy niesłusznie? Czy na podeptanie ideałów? I zachowanie dawnego status quo.



Wspomnienie Jadwigi Bortkiewicz o Czesławie Niemenie

Czwartek, 31 maja 2007 r. Pukam do drzwi państwa Jadwigi i Kazimierza Bortkiewiczów mieszkających od wielu lat w Kołobrzegu.

Od jutra przez trzy kolejne dni będzie odbywał się w tym mieście IV Ogólnopolski Zlot Miłośników Muzyki Niemena. Jego gościem honorowym będzie siostra Niemena, Jadwiga Wydrzycka-Bortkiewicz. Przybędzie wraz z mężem Kazimierzem i członkami najbliższej rodziny, ale wtedy nie będzie możliwości w spokoju porozmawiać o latach dzieciństwa i młodości jej brata – wielkiego artysty – Czesława Niemena.

Był on nie tylko wybitnym muzykiem, ale również malarzem, autorem tekstów, multiinstrumentalistą. Niemen był bardzo skromnym, ale wielkim człowiekiem. Napisano o nim setki artykułów prasowych i - jak do tej pory - cztery książki (*Czesław Niemen – Kiedy się dziwił przestaną...* Romana Radoszewskiego,

Niemen o sobie Dariusza Michalskiego, *Czas jak rzeka* Marka Gaszyńskiego, *NIEMEN – dyskografia, fakty, twórczość* Tadeusza Sklińskiego). Doprawdy napisano bardzo wiele, ale czy wszystko?

Przysłuchując się opowieściom Pani Jadwigi, słyszałem często takie słowa, które nie zostały jeszcze do tej pory nigdzie opublikowane, a są to informacje ważne. Myślę, że wielbiciele talentu Niemena chcieliby je poznać i dlatego postanowiłem napisać kolejny artykuł do „Pro Libris”, by opisać to czego dowiedziałem się na Zlotach Fanów Niemena. Tym razem skupiam całą uwagę na najwcześniejszych latach życia Czesława. Chcę opisać o tym jak kształtowała się jego wrażliwość, odbiór na sztukę, kulturę tego wspaniałego człowieka. Jadwiga Bortkiewicz, starsza o blisko dziesięć lat siostra Niemena, pamięta nawet dzień narodzin swojego brata. Mówi: – Matka urodziła Czesława, gdy miała już 42 lata. Urodził się w domu, 16 lutego 1939 roku o trzeciej nad ranem. Ojciec bardzo się ucieszył, że ma syna. Po narodzinach podszedł do babci i powiedział: – Mamo, mam syna! Talent odziedziczył Czesław po rodzicach. Jego ojciec Antoni Wydrzycki był człowiekiem, który wiele potrafił. Pani Jadwiga pamięta, że zwracano się do niego zawsze, gdy ktoś potrzebował pomocy. Był jedynym człowiekiem w Wasiliszkach, który potrafił np. nastroić organy, fortepian, dorobić jakąś część do akordeonu, gitary czy innego



instrumentu muzycznego. Ale Antoni Wydrzycki reperował nie tylko instrumenty muzyczne. Potrafił też naprawić wszelkiego rodzaju zegarki, rowery. Umiał również oprawiać stare książki. Nie posiadając do tego odpowiedniego sprzętu robił to niczym najlepszy introligator. W 1958 roku z całą rodziną wyjeżdżał do Polski i trudno było mu zabrać z sobą te wszystkie potrzebne rzeczy, a szkoda było z nich zrezygnować: narzędzia, śrubki, sprężyny, klucze itp.

Antoni Wydrzycki miał bardzo dobry słuch, był stroicielem różnych instrumentów muzycznych. Śpiewał też wraz z żoną i dziećmi w chórze kościelnym.

Również matka Jadwigi i Czesława, Anna Wydrzycka (z domu Markiewicz), posiadała wspaniały słuch i głos. Słuch Czesław odziedziczył po rodzicach, ale głos głównie po matce (ojciec Antoni nie dysponował specjalnie mocnym głosem). Po matce Czesław odziedziczył też tężyznę fizyczną. Cała rodzina Markiewiczów to bardzo silni ludzie. A przede wszystkim odebrał po swoich rodzicach właściwe wychowanie, wrażliwość i wiele innych pozytywnych cech charakteru.

Siostra Czesława Niemena, chociaż upełniła od tego czasu już ponad 60 lat, pamięta do dzisiaj jeszcze wiele szczegółów, którymi nas wszystkich zaskakuje.

Opowiada jak to jesienią 1941 roku, kiedy jej brat miał zaledwie dwa i pół roku pewnego dnia wszedł na taboret i zaczął śpiewać NI-KAK-DA z własnymi słowami i muzyką, którą wcześniej kilka razy słyszał z płyty wielkiego rosyjskiego śpiewaka Szalapina. Jadwiga słuchając i oglądając to, co wyczyniał jej brat była zaskoczona. Poszła powiedzieć ojcu, że z Cześkiem coś się stało. Kiedy przyszedł Antoni i obejrzał wyczyny swego małego syna też był bardzo zdziwiony popisami malca. Podobnie, kiedy przychodzili mieszkańcy Starych Wasiliszek, prosząc Cześka, by zaśpiewał – ten zawsze wtedy wchodził na taboret i ochoczo śpiewał. Niektórzy obserwując to, już wtedy mówili, że będzie z niego kiedyś wielki artysta. Pani Jadwiga wspomina: – Jako malec Czesiek śpiewał altem, później już był w chórze

w tenorach. Był wesołym, dowcipnym chłopcem, nie był łobuzem. Tylko robił psikusa z nartami, podkradał mi je, chociaż był na to za mały. Musiała go za to karcić. Ale – jak mówi – był malcem, którego nie można było nie kochać.

W wieku kilku lat Czesław zaczął pięknie malować. Nie było wtedy (lata wojny) właściwych przyborów do malowania, ale wystarczy skrawek papieru, jakieś kredki i już powstaje rysunek, obraz, który jest małym arcydziełem. Niestety większość z tych rysunków nie zachowała się do czasów obecnych (jak chociażby pierwszy przedstawiający ulicę miasta narysowaną z perspektywy przez zaledwie kilkuletniego malca). Jego starsza siostra podpowiada mu wtedy jak namalować jeszcze piękniej. „Byłam takim znawcą dla Cześka, podpowiadałam mu...” Czesiek po narysowaniu nie dba o to, co stanie się z tymi rysunkami, ale jego starsza siostra zachowuje niektóre rysunki, przywozi je do Polski i po wielu latach przez przypadek znajduje w swoich archiwach wśród zdjęć z tamtych lat. Dzisiaj, Czesława Niemena nie ma już wśród nas, ale oglądając rysunki, możemy uświadomić sobie jego rodzający się za młodu talent i wielkie umiejętności. Wyjawiam Pani Jadwidze pro-



jekt publikacji rysunków Niemena. Bez wahania wyraża zgodę na to, by czytelnicy „Pro Libris” mogli zobaczyć to, co jej brat narysował będąc małym chłopcem. Dlatego w tym numerze kwartalnika są one publikowane.

Pani Jadwiga pokazuje kilka zachowanych rysunków i opowiada:

– Pierwszy rysunek pochodzi z czasów, kiedy Czesiek nie chodził jeszcze do szkoły. Nosi tytuł „Leśne Nastroje” a przedstawia leśną orkiestrę. Krasnal gra na wiolonczeli, wiewiórka na perkusji, a ptaszki śpiewają. Kolejny rysunek Czeška jest z czasów szkolnych i przedstawia husarza. Na następnym – wędrowca, a właściwie włóczkę, o którym później śpiewał mój brat.

Pani Jadwiga kontynuuje: – Kiedy Czesiek był w piątej klasie oglądał w kinie film i po wyjścia z kina bardzo realistycznie narysował główkę dziewczynki, bohaterki tego filmu. Jakiego filmu tego już dzisiaj pani Jadwiga niestety nie pamięta. Dalej siostra Niemena mówi: – Do szóstej klasy Czesiek miał same piątki, później zaniedbał się trochę a to dlatego, że często występował. Był bardzo zaangażowany w życie społeczne mieszkańców Starych Wasiliszek. Konkursy, koncerty, imprezy szkolne. Czesiek zawsze z akorde-



onem, gitarą, mandoliną. Zawsze ma przy sobie chórek.

Wspomnienia pani Jadwigi przeciągają się do późna. Od jutra mamy zapewnione noclegi w hoteliku Bukowina. Na tę noc trzeba nam poszukać noclegu. Znana jest gościnność ludzi pochodzących z Kresów, ale naprawdę zaskakują nas słowa siostry Niemena, która mówi nam, że możemy u nich przenocować. A rano po śniadaniu słuchamy dalszych wspomnień o trudnym życiu w tamtych stronach. Antoni Wydrzycki uniknął wywiezienia na Sybir tylko dzięki temu, że był potrzebny tu na miejscu. Kiedy trzeba było coś naprawić, zrobić... wszystko to potrafił i robił Antoni, właśnie dlatego jego rodzina uniknęła wywózki, ale nie można było liczyć na to, że tak będzie zawsze. Jak powiedział kiedyś w wywiadzie, którego wiele lat temu udzielił Bogusławie Patalas dla słuchaczy Radia Zachód Czesław Niemen: – Już w 1939 roku moja rodzina była przeznaczona na Sybir. Przed wywózką trzeba się było często ukrywać, dlatego ostatecznie w 1958 roku postanowili wyjechać do Polski, gdzie był już brat Antoniego – Józef Wydrzycki.

Czesław Niemen w wywiadzie tym mówił jeszcze o swojej tęsknocie za rodzinnymi stronami, o tym że nigdy się nie nudził mieszkając na wsi. Wspominał wędrowki nad Niemen, chociaż stwierdził, że nigdy nie płynął tą rzeką. Mówił o swojej fascynacji przyrodą, którą uwielbiał obserwować. Wspominał swoje dzieciństwo – szczęśliwe, bo trochę na uboczu, czasem tylko burzone przez przejazd wojsk, które przeprowadzały manewry. Pamiętał również trudne epizody ze swoich młodych lat. Na przykład gdy pijany żołnierz enkawudzista wypuścił serię z pepeszy w powietrze i mały Czesław musiał uciekać, chroniąc się w polu żyta.

* * *

Na Zlot W Kołobrzegu przybyło ok. 60. fanów Niemena. Oprócz siostry Niemena Jadwigi i jej męża Kazimierza oraz ich dwóch córek przybyli także Romuald, Jerzy i Jan Wydrzyccy – bracia stryjeczni Niemena.

Wśród zaproszonych gości jest Weronika Szypura, która wieczorem daje piękny koncert, śpiewając wiele piosenek z repertuaru Czesława Niemena. Koncert prowadzi autor książki o Niemenie Roman Radoszewski. Po koncercie fani Niemena mogą nabyć płytę Weroniki „Rozwiana”, na której są dwa utwory Niemena: „Una luce mai accesa” i „Bema pamięci żałobny rapsod”. Po koncercie Weronika rozdaje autografy na swojej płycie.

Również z repertuarem Niemena występuje Jarek Królikowski (tenor operetki z Wrocławia). Po koncertach zaczyna się dyskusja, która trwa właściwie do samego rana. Niektórzy trochę narzekają, że nie mogli się wyspać, ale cóż takie jest życie zlotowicza.

Następnego dnia w sobotę jedziemy wraz z Jadwigą i Kazimierzem do Białogardu na groby Anny i Antoniego Wydrzyckich.

Po południu trwa dyskusja poświęcona dalszym planom Stowarzyszenia Fanów. Dyskusja jest często bardzo burzliwa. Oprócz dyskusji zlotowicze oglądają też na DVD koncerty Niemena i słuchają unikatowych nagrań Czesława Niemena. Wymieniają się płytami z nagraniami Niemena, zdjęciami, artykułami prasowymi i różnymi ciekawostkami. Wspominają koncerty, w których uczestniczyli.

Uczestnicy Zlotu napisali i podpisali się pod podziękowaniem dla Telewizji TVP KULTURA za wszystkie programy poświęcone Niemenowi wyemitowane do tej pory z prośbą o dalsze programy o Niemenie.

Na Zlot przybyli autorzy książek: Roman Radoszewski i Tadeusz Skliński, przybyli też: Alina Dopart, Krzysztof Wodniczak, Piotr Starzyński, Marek Zawadka, Dasia Śliwińska z siostrą Bożeną, Anna Libera, Helena i Edward Markiewicz, Andrzej Mróz, Krzysztof Karwasiński z żoną Zofią, Maria Cabaj z mężem i córką Magdaleną i wielu, wielu innych, znanych wszystkim z poprzednich Zlotów. Wiemy już, że w tym roku z przyczyn osobistych nie przybędzie Edward Chomicz. Edward jest pomysłodawcą organi-

zowania każdego roku takich zlotów, by w ten sposób przybliżyć i upamiętnić postać wielkiego muzyka jakim był bez wątpienia Czesław Niemen. Na każdym Zlocie daje się odczuć brak Czesława Niemena. W tym roku brakuje też wszystkim wspaniałego organizatora spotkań, jakim jest Edward Chomicz.

Przez długi czas wszyscy zlotowicze wypatrują też Krzysia Falkowskiego – fana, który jest na każdym Zlocie. A znany jest z tego, że chyba ze wszystkich ludzi w Polsce był najwięcej razy na koncertach Niemena. Jeździł od miasta do miasta, na wszystkie koncerty Czesława Niemena, by obserwować i słuchać jak gra i śpiewa jego wykonawca, wspaniały muzyk i Wielki Człowiek. Dopiero w sobotę, 2 czerwca nad ranem dotarł Krzysztof Falkowski po trudach podróży do Kołobrzegu. Sytuację finansową ma teraz kiepską (brak stałej pracy), więc i problemy są, ale fascynacja Niemenem trwa nadal. Tą fascynacją żyją też wszyscy przybywający każdego roku na zloty miłośnicy muzyki Niemena.



Nabieranie

nabieram ciszę w usta
nabieram wszystkich
że jestem silna

mówisz każdy ma swojego anioła
i co z tego że mój upadły

przebudzone palce
przemierzają pustynię pościeli
w poszukiwaniu straconego ciebie

pamiętasz pamiętam doskonale
to niebo odbijające się w twoich oczach

cynobrem wiarę rozwianą we włosach
bunt błękitem paryskim malowany
karmin skradziony z przydymionych ust

wymięty sweter
wymięte myśli

nie wiedzieć czemu
w chwilach nagłego ocalenia
pływająca brzytwa sama wpada w łapę

mój mężczyzna nie pytał
czy pozwolę się nie kochać

młode ciało
stary wzrok

- proszę tak na mnie nie patrzeć

mokre oczy
suchy kaszel

- wszystko przez te fajki i czemu nie wierzysz

ciche dni
wilgotne noce

- telewizja nie przestaje kłamać

Parzenie

Oni nie będą się już więcej parzyć.
Parzyć się będzie za to kawa.

Czarna. Mocna. I gorzka.
Nie będą sobie słodzić.

Będą w skupieniu pili kawę.
Oni. Parzyści. Sparzeni.

Kawa będzie im parzyć usta i przełyki.
Nie będzie im smakować.

Parzyć się będzie głucha cisza
z tykaniem starego zegara.

Spójrz

tu Cortázar zimna kawa
niedopałki i gadatliwe okno
które nie chce się zamknąć

tam mężczyzna
który nie przytula

łóżko jak Sahara
gorące piaski pościeli
i on niczym świeże źródło

za oknem wschodzi nowy dzień

mężczyzna śpi
kobieta patrzy

Bracia w Bogu, ale czy bracia w wierze?

W dniach 2-3 marca 2007 roku w Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze zorganizowane zostało spotkanie „Starsi, młodszy bracia w wierze”, w ramach którego 3 marca odbyła się debata teologiczna między przedstawicielami trzech wyznań: judaizmu reformowanego – rabinem Burtem Schumanem, kościoła rzymskokatolickiego – księdzem Grzegorzem Cyranem oraz kościoła ewangelicko-augsburskiego – pastorem Dariuszem Likiem. Tematem debaty był szeroko pojęty ekumenizm, możliwość współistnienia trzech religii, wzajemnego ich wspierania się czy dążenia do wspólnych celów. Dyskutanci mieli rozstrzygnąć, czy takie możliwości istnieją, a przede wszystkim, czy zachodzi konieczność poszukiwania drogi porozumienia między wyznaniem, które różnią się od siebie doktrynami, a tym samym spojrzeniem na Boga, świat oraz człowieka i jego miejsce w świecie. Warto zapytać, czy uczestnikom debaty udało się osiągnąć ten cel? Wątpliwości pojawiają się już na wstępie.

Na początku debaty jeden z dyskutantów, przedstawiciel kościoła ewangelicko-augsburskiego, otwarcie oświadczył, że dla wyznawców jego religii takie porozumienie nie jest konieczne, a różnice doktrynalne między wyznaniem są zbyt duże, by mówić o wspólnych celach czy o potrzebie współpracy.

Pastor podkreślał wielokrotnie różnice w postrzeganiu człowieka w świecie, jego

znikomość przed obliczem Boga, nakaz absolutnego poddania się Woli Bożej, nawet jeśli w odczuciu człowieka dzieje mu się krzywda. W wypowiedziach pastora wyraźna była niechęć do tych, którzy zbyt podnoszą wolność człowieka czy dopuszczają taką interpretację Pisma, w której Bóg zezwala człowiekowi na sprzeciw wobec tego, co dla niego zaplanował czy wobec tego, czego od niego oczekuje.

W przeciwieństwie do przedstawiciela kościoła ewangelicko-augsburskiego, rabin podkreślał wolną wolę człowieka, jego uprzywilejowaną pozycję przed obliczem Boga, możliwość niezgody czy wręcz protestu przeciw Woli Bożej. Wyznawca judaizmu ma prawo wątpić, ma prawo szukać odpowiedzi na nurtujące go pytania, ma prawo podważać sens boskich zasad, planów czy oczekiwań, ma nawet prawo, co z uśmiechem podkreślał rabin, „obrażać się” na Boga, głośno wyrażać swój gniew i sprzeciw.

Judaizm okazał się w debacie religią najbardziej „ludzka”, religią, w której Bóg dał wolną wolę człowiekowi rzeczywiście po to, by mógł on dokonywać w pełni niezależnych wyborów. Dał rozum po to, by człowiek wybierał, co jest dla niego korzystne. Wreszcie obdarzył ludzi naturą buntowników właśnie po to, by czynili z niej użytek, a On sam – by mógł cierpliwie znosić błędy popełniane przez ludzi, być Miłosiernym

Ojcem, który wybaczy sprzeciw i przyjmie człowieka, kojąc jego ból. Takie relacje między Bogiem a człowiekiem nieustannie podkreślał rabin, nawet gdy przytaczał postać Abrahama, który w religiach chrześcijańskich jest symbolem posłuszeństwa i całkowitego oddania się Bogu. Dla wyznawcy judaizmu Abraham jest człowiekiem, który dzięki umiejętności pertraktowania z Bogiem, dzięki możliwości wyrażania sprzeciwu wobec Jego woli, może tę wolę zmienić, sprawić, że Bóg zmieni oczekiwania wobec człowieka, zmieni również plan ludzkiego życia.

Trzy wyznania odmiennie rozkładają akcenty interpretując historię Abrahama, w ten sposób wyrażane są odmienne wizje relacji człowiek – Bóg. Judaizm podkreśla gotowość Boga do dialogu z człowiekiem, katolicyzm – Jego miłosierdzie i litość nad człowiekiem, natomiast luteranizm – niezmiennosc Jego woli i konieczność bezwzględnego posłuszeństwa człowieka, nieustannego poddawania się próbom wiary, gotowość przyjmowania wszystkich pozornie losowych wydarzeń bez najmniejszej wątpliwości w ich boski sens.

Ze sposobu postrzegania człowieka w świecie wynika, moim zdaniem, tolerancja judaizmu reformowanego wobec innych religii, innych sposobów myślenia oraz otwartość na dialog międzywyznaniowy czy chęć współpracy i wzajemnego poznawania się i przenikania kultur.

Właśnie wzajemne przenikanie się kultur oraz ich współistnienie w historii narodów podkreślał ksiądz rzymskokatolicki, z sentymentem wspominając czasy, gdy wyznawców judaizmu było w Polsce znacznie więcej. Za wspomnieniami kryła się, moim zdaniem, postawa otwartości i gotowości do współpracy z wyznawcami innych religii, zwłaszcza na gruncie wspólnych tradycji. Ksiądz katolicki nawiązywał często do nauk Jana Pawła II, który nawoływał do współpracy i wzajemnej tolerancji między religiami świata, podkreślając przy tym, jak ważna jest wiara w życiu człowieka. Konieczność niesienia pomocy ludziom poprzez opiekę nad ich stanem ducha podkreślał ksiądz Cyran. Zaznaczał, że przez wiele wieków katolicy

i żydzi potrafili żyć obok siebie i tworzyć wspólną kulturę, co świadczy o tym, iż także w dzisiejszych czasach dialog i współpraca między wyznawcami trzech religii są możliwe, a nawet konieczne. Przedstawiciel kościoła rzymskokatolickiego zdawał sobie sprawę z różnic w doktrynach trzech wyznań, dlatego podkreślał rolę tradycji. Przysłuchując się rozmowie, odnosiło się wrażenie, że stanowisko kościoła rzymskokatolickiego jest czymś pośrednim między dwoma odmiennymi wyobrażeniami Boga, a co za tym idzie, stosunkiem do Pisma Świętego i Tradycji.

Uczestnicy debaty starali się osiągnąć porozumienie między religiami, jednak – jak stwierdzili – nie jest możliwy kompromis między doktrynami owych wyznań, dlatego należy więcej mówić o tolerancji, współistnieniu, wzajemnym szacunku i współpracy w niesieniu pokoju na świecie. Z rezerwą do tego typu współpracy podchodził jednak przedstawiciel kościoła ewangelicko-augsburskiego.

Przedstawiciele judaizmu i kościoła rzymskokatolickiego podkreślali konieczność organizowania takich i podobnych spotkań w celach prowadzenia dialogu między wyznaniem, rozbudzania wśród wyznawców potrzeby współpracy i tolerancji. Takie spotkania mogą pomóc odbudować dawne więzi między ludźmi i skłaniać do refleksji na temat Boga.

W debacie tej, moim zdaniem, zabrakło wypowiedzi na temat rzeczywistych różnic doktrynalnych. Rozmawiano o Tradycji, Piśmie Świętym, współpracy, natomiast nie mówiono o konsekwencjach różnic między wyznaniem. Zostały one pominięte, przemilczane. Dyskutanci skupili się na podobieństwach, na tym, co mogłoby połączyć wyznawców odmiennych religii (pomijając wypowiedzi pastora Lika, który, jak wspomniałam, często wyrażał brak potrzeby współpracy z innymi Kościołami).

Tym, co mogło zaskoczyć podczas owego spotkania było małe zainteresowanie społeczności akademickiej – wśród widowni wykładowcy uniwersyteccy nie pojawili się chyba wcale, podobnie jak studenci. Większą część publiczności stanowili zielonogórcy wyznawcy judaizmu oraz dziennikarze.

Tego typu spotkania i debaty sprzyjają budowaniu tolerancji i chęci współpracy międzywyznaniowej. Rozmowa ta wydawała się jednak bardziej towarzyskim spotkaniem, niż rzeczywistą debatą teologiczną. Cóż, dialog między religiami jest przede wszystkim dialogiem między ludźmi wyznającymi różne doktryny i systemy wartości. Kiedy potrafią ze sobą rozmawiać bez wrogości, choć może i bez pozornej sympatii, to jest to niewątpliwie krokiem ku wzajemnemu zrozumieniu.

Wydaje się, że kolejne podobne spotkania organizowane w przyszłości mogą zebrać więcej publiczności, jednakże pod kilkoma warunkami. Wydaje się, że cennym byłoby włączenie do debaty historyków, czy filozofów z zielonogórskiego środowiska naukowego. To może przyciągnąć studentów, niejednokrotnie indyferentnych religijnie. Dalej, duchowni, którzy decydują się wziąć udział w takim ekumenicznym spotkaniu, nie powinni sami podważać ich sensu, bo to... bez sensu.



Drzewo tajemnic

Podanie z okolic Bytomia Odrzańskiego

Wtedy wielu na Wzgórzach Dalkowskich opowiadało, zaklinając się, że jest to szczerą prawdą, iż przed wielką zarazą na drodze w stronę Jeżmanowej widywano wieczorami zgrzebny worek, który sam się ciągał po piasku i gadał:

„fić, fić, fić, nie ma nic,
od cholery dzięgiel pić”.

Wierzono też, że bołtuny położone na progu chaty mogą wiele złego u domowników i rogaćcinnych uczynić. Szczególnie zaś będą utrudniać pannom zamążpójście w najbliższym roku.

W ów czas źle się działo z poborcami podatków, bakałarzami i piśmiennymi organistami. Wieści im przekazywane skrycie przez zwierzchników rozgadywać zaczęli bezpotrzebnie. A kiedy ich pytano czemu to robią – odpowiadali, że ich tak języki boleśnie świerzbują, iż tylko gdy wygadają co im wiadome – ozory wracają do normalności. Można wtedy i zjeść co przy wieczery spokojnie i wina podpić dla zatopienia frasunku.

Wszystkie tajemnice w tych okolicach, jakie ktoś posiadał głęboko skrywane, nawet złe uczynki, jakimś sposobem wydostawały się na zewnątrz ludzkich umysłów przez języki i stawały się drożdżem do głupawych figli tłuszczy obdartej.

Bywało, że przechodzący na jarmarku zażywny kupiec czy to w Dalkowie czy Polkowicach nie wiedzieć kiedy wypaplał właśnie co pomyślał i od razu słyszał docinki urwipolciów na swój temat. Niewiasty po grzbietach częściej obrywały teraz od swoich mężów, bo od razu wypaplały gdzie tam która wieczorami chadza po gumnach i kto tam na nie czekał i co tam się działo.

Żyć się już dłużej nie dawało z tym gadulstwem.

Przyczyna tego tkwiła w nieudanych próbach rzucenia uroków przez guślarkę Tyszę na dziedzica Kumeka z bytomskiego zamku. Namówił ją do tego i wynagrodzić srebrem za sprzedane odpusty zupełnie przyobiecał, fałszywy wędrowny rudy mnich z przybranym imieniem Midaw, któremu dziedzic Kumek pieniędzy nie zechciał pożyczyć. Bo miał pewnie prawdziwe obawy, że przy pożyczce wędrownemu rudemu mnichowi Midawowi swoje srebrniaki po raz ostatni może oglądać.

Mnich postanowił się skrycie zemścić na dziedzicu, jak to rudzielce mają w swoim zwyczaju.

Guślarka Tysza mieszkała dotąd spokojnie w lasku pod Gaworzycami i udawało się jej czasem nawet kogoś ziołami, czy warzonymi jagodami wyleczyć z brzusznych boleści. Całymi dniami wędrowała po wzgórzach przeważnie skrajami lasów i brzegami miedzowych zarośli zrywając ziele, od którego nawet najęci pastuchowie bydełko odganiaли, żeby się po zjedzeniu nie wzdęło. Pod wieczór siadywała przed chatą i mamrocąc podobne do łacińskich słowa skręcała trawnymi powrósełkami pęczki ziele. Wtedy to fałszywy rudy mnich Midaw pojawiwszy się o zachodzie przed chatą namawiał długo Tyszę do rzucenia złego uroku na dziedzica z Bytomia. Przyobiecał nawet srebrniaka dać w nagrodę. Myślała nad tym cały tydzień Tysza

i w końcu nawarzyła kory akacyjowej z torfem i czymś tam jeszcze – o czym nikomu nie chciała powiedzieć. Zakłęciami ochuchwała sagan uszaty i gorącą breję przelała do sosnowego cebrzyka, okutego miedzianymi obręczami z krzywym kabłąkiem. Chyłkiem poszła przed świtem pod bytomski zamek i pokropiła całe podgrodzie, stajnie, brony w bramach, śpiących strażników i co tam się dało po okolicznych wioskach. Urok miał pokarać dziedzica paskudnymi krostami na polickach. Coś tam się jednak w zakłęciach Tyszy poplątało, a może czegoś dosypać do brei zapomniała, tak że po paru dniach fałszywy rudy mnich Midaw przepadł, a ludzie po okolicy wyjawiać wszystkie możliwe tajemnice zaczęli i pletli niewyobrażalne androny bez pamięci.

Mnicha widziano pono gdzieś z ogoloną głową, dla niepoznaki, sprzedającego fałszywe księgi na jarmarkach w Brandenburgii. Później o nim wieści żadne już nie docierały w te okolice.

Baby w wioskach plotły o amatorach z przejezdnyymi cyganami, co się do nich umizgiwali. Chłopi radośnie opowiadali w karczmie o tym, ile to dziesięcin do klasztoru nie oddali poprzedniego roku.

Doszło to niebawem do czujnych uszu szpiegów dowódcy strażników bytomskiego zamku, szczerbatego Zenona. Strach padł na niego i jego zaufanych pomocników, bo jeżeli i na nich przyjdzie takie gadulstwo to mogą wypaplać, co tam na torturach z przesłuchiwanymi złoczyńcami wyprawiali, czego i dziedzicowi powiedzieć nie chcieli. A to już byłoby dla nich niebezpieczne, szczególnie po tym jak tamtego złodziejaska tak przypieklili, że musieli go w fosie spławić, niby to, że uciekał z lochu. Posłali więc czem prędzej do puszczy pod Jakubowem po słynnego odczyniacza uroków Jedura.

Jedur mieszkał w dzikiej okolicy nad Viadriną. Jego chata, porośnięta mchem, owiewanym dymem tłących się torfowisk, wyglądała na zupełnie opuszczoną. W tym miejscu na Viadrinie były porohy, przez które przepawić się było trudno, chyba że rzekę lody skuwały w czasie trzaskających mrozów. Powiadali, że te torfowiska to Jedur sam podpalił, żeby ogień szufelką z nich wyciągać, kiedy w palenisku jego glinianego pieca wygaśnie.

Posłańcy dowódcy szczerbatego Zenona weszli do chaty Jedura. Złazł on z pieca, odpędził od siebie kilka gacków trzepocących się w kudłach jego kozucha i rzekł:

– Dawnom takich gości tu nie miał. Wiem po coście tu przyleźli. Pewno was strach obleciał, że wygadacie co tam w lochach z czarownicami i innymi dziewczkami wyprawiacie. Urok mogą odczynić. Ale najpierw to pacholki jedne, będziecie mnie nieść na drągach wymoszczonych jedliną i karmić mięsiwem i mleka do dzbanka dolewać, żebym w nim dna nie zobaczył. A żywo! – Wrzasnął na nich i nawet odpowiedzieć nie pozwolił, tylko w drogę ruszać kazał.

Ciężka to była podróż. Jedur był wielki i dzbany ze sobą jakieś zabrać kazał. Niby to do odczyniania potrzebne. Przybył wreszcie ten dziwaczny orszak na miejsce.

Jedur rozpatrzywszy się w sprawie nakazał zapowiedzieć we wszystkich wioskach, aby chłopci i inni zebrali się za dwie niedziele pod wysoką akacją z wieloma dziuplami. Dlaczego tam, tego Jedur nikomu nie wyjawiał.

Kiedy gadający jeden przez drugiego o wszystkim tłum zebrał się niedzielnym przedpołudniem, dzwony kościelne przestały bić, bo i dzwonnik kłusem tu przybiegł.

Przynieść kazał Jedur pacholkom swoje dzbany i polewał czarną, cuchnącą maziugą podobną do dziegciu akację i jej dziuple. Smród rozniósł się okrutny po okolicy, aż ptaki pouciekały za horyzont i jakoś się cicho zrobiło wśród zebranych. Zarządził Jedur aby każdy podchodził do śmierdzącej akacji i do dziupli swoje tajemnice gadał.

Trwało to do wieczora. Ale każdy, kto odchodził od drzewa był już spokojniejszy i głupot nie opowiadał.

Ostatni swoje tajemnice wyznał do dziupli dziedzic bytomski Kumek i to nie byle jakie – bo o schowanych na czarną godzinę złotych bransoletach.

Jedur wziął wtedy rozmoczoną glinę zmieszaną z jakimiś liśćmi i zalepił dziupliska. Drzewo podpalić kazał ogniem od świecy z ołtarza pobliskiego kościoła.

Drzewo płonęło niemrawo i krótko potem całkiem przygasło. Tłum się powoli porozchodził i zaległa noc.

Kawałki tej akacji poniewierały się potem po okolicy, bo do pieców się nie nadawało – palić się nie chciało i smród roztaczało z kominów.

Jeden z tych kawałków do dzisiaj się zachował. Kiedy się z niego ździebko zeschnęło łyka oderwie bądź drzazgę odskubie to przyłożywszy szczelnie ucho do dziupli można usłyszeć jęki, szepty i tajemnicze słowa, które w drzewie Jedur pozamykał.

Taki też konar akacjowy stoi w dworskim sadzie w Szybie. Podobno są tacy, co słyszeli nie tylko tajemnice w nim zamknięte, ale nawet i swoją przyszłość. Ale im wiary dawać nie można, bo potem im się rozum najczęściej pomieszał i w pole szli bez opamiętania. Z resztą, kto by tam wariów słuchał. Choć i bywało, że czasem się spełniało co usłyszeli.



W moim sadzie

Jabłonie przechyliły się już na moją
Tak samo nie grzeszą rajsnością
Ani się rumieniają na widok owocobrania

Zewsząd tylko słońce mozoli się po gałęziach
I smuży pośród latoroślniej opadzinie

Wnet nam przyjdzie się wykarczować
Pień po pniu, nieodrodnie

październik 2004

Prozaizując

Pana wiersze są takie prozaiczne
Mówi do mnie ilekroć się spotykamy pewna niby feministyczna poetka
Która oprócz filologii polskiej studiuje jeszcze marketing i zarządzanie

Ta oględna wręcz interpretacja przykuwa jednak moja uwagę
Jak trądzik na jej malowniczej buzi
Jak aparat ortodontyczny na jej zębach piranii

Nie powiem ażebym mlaskał na jej widok
Ale ona swym kąśliwym języczkiem
Zaskarbiła sobie już teraz na mój szacunek

I nie tylko
Bo także na ten wiersz skrycie lecz umyślnie
Jej dedykowany

kwiecień 2006

Jak dotąd

Mieszkam w
Arkadii albo w
Edenie, ktoś
Mógłby powiedzieć,
A tak naprawdę
Mieszkam w
Krainie samego
Siebie. Jak
Dotąd

29 kwietnia 2007

Kwiat paproci

W noc świętojańską
Nagle się otwiera
Coraz pełniej
Dotąd stulony
Kwiat paproci:
Świetlików czerw;
Stąd ten przy-
Ziemny wiec
Pełen gwiazd

24 czerwca 2007

Auf dem Gipfel des Berges

Ein alter Mann lief durch die engen, düsteren Straßen des Viertels. Er hatte einen grauen Kinnbart. Auf dem Kopf trug er einen schwarzen Hut. Der alte Mann lief nicht gebückt, er blickte nach links, und er blickte nach rechts. Er wollte alles noch einmal sehen, alles mitnehmen, denn er wusste, er würde diese Stadt, dieses Viertel, in dem er so gelitten hatte und in dem er dennoch so glücklich gewesen war, nie wiedersehen.

Der Mann weinte. Er weinte und schien dennoch nicht traurig zu sein.

Der Mann ging nicht alleine auf der Straße. Hinter ihm liefen Kinder. Sie liefen in Reih und Glied, immer zu zweit, und hielten sich an der Hand. In der freien Hand trugen sie einen kleinen Koffer, in dem alles, was sie besaßen, verstaut war. Sie würden nämlich auf eine lange Reise gehen. Nach Afrika oder sogar nach Amerika. Das wussten sie nicht so genau, das hatte ihnen der alte Mann nicht gesagt.

Der Alte war tief in seinen Gedanken versunken, als er auf einmal gestört wurde. Ein kleiner Junge in einem braunen Hosenanzug aus schlechtem Stoff holte den Mann ein. Mit seiner rechten Hand wedelte das Kind fröhlich die grüne Fahne. „Herr Korczak, nun sagen Sie mir doch endlich, wo wir hinfahren. Ich bin ja so neugierig.“

„Habe ich dir nicht schon einmal gesagt, Gregor, dass du dich wie alle anderen in Reih und Glied einordnen sollst.“

„Entschuldigung, Herr Doktor,“ sagte Gregor und rannte einige Reihen nach vorne. Dort nahm er wieder seinen Platz neben der schwarzhaarigen Raissa ein und fasste sie bei der Hand. Herr Korczak blieb jetzt stehen, bis Gregor auf seiner Höhe war, denn obwohl er vor der Frage des Jungen Furcht hatte, wollte er ihn nicht abweisen.

Na szczycie góry

Przez wąskie, ciemne ulice dzielnicy szedł stary człowiek. Nosił szarą bródkę. Na głowie miał czarny kapelusz. Szedł nie pochylając się, spoglądał w lewo, spoglądał w prawo. Chciał zobaczyć wszystko jeszcze raz, zabrać ze sobą ten widok, bo wiedział, że tego miasta, tej dzielnicy, w której tyle przecierpiał, a jednak w której był tak szczęśliwy, nigdy już nie zobaczy.

Plakał. Plakał, a mimo to wydawał się nie być smutny.

Nie szedł sam. Za nim szły dzieci. Szły w dwóch rzędach, gęsiego, trzymając się w parach za ręce. W wolnej ręce każde trzymało niewielką walizkę, a w niej – cały swój dobytek. Wybierały się w daleką podróż. Do Afryki, a może nawet do Ameryki. Nie wiedziały dokładnie, stary mężczyzna nie powiedział im tego.

Sam zagłębił się w myślach, gdy nagle coś mu przeszkodziło. Dogaonił go mały chłopiec w brązowym garniturze z materiału słabej jakości. Powiewał radośnie zieloną chorągiewką, którą trzymał w prawej ręce. „Panie doktorze, niech Pan wreszcie powie, dokąd jedziemy. Jestem tak strasznie ciekaw.“

„Grzesiu, czy nie prositem cię, żebyś ustawił się w rzędzie razem z innymi?“

„Przepraszam, panie doktorze“, odpowiedział Grześ i pobiegł z powrotem na swoje miejsce. Tam ustawił się obok czarnowłosej Raisy i złapał ją za rękę. Korczak zatrzymał się teraz, czekając na Grzesia, ponieważ – choć obawiał się pytania chłopca – nie chciał go zbywać.

„No niech pan wreszcie powie, panie doktorze, dokąd jedziemy?“

„Nun sagen Sie doch, Doktor, wohin geht es?”
„Musst du Naseweis denn immer alles wissen! Lass dich überraschen. Du wirst schon sehen, es wird eine schöne weite Reise in ein fernes Land, das noch niemand kennt.”

„Gibt es dort Giraffen?”

„Nein,” sagte Herr Korczak. „Giraffen gibt es dort nicht. Aber Gier-Affen.”

„Was sind Gier-Affen?”

„Gier-Affen, das sind Affen, nur gieriger.”

„Ach so, Menschen also,” sagte Gregor enttäuscht.

„Woher weißt du das?”

„Den gleichen Witz hat mein Großvater auch schon mal mit mir gemacht”, sagte Gregor.

Der alte Mann lächelte.

Der Zug der Kinder hatte jetzt den Bahnhof erreicht. Gregor rollte die grüne Fahne ein, und alle Kinder wurden von Männern in Uniformen in die Waggons gewiesen. Auch der alte Mann stieg ein. Er stieg als Letzter ein. Er sah sich noch einmal um und saugte alles in sich auf. Er blickte in den Wagen und sah die roten Lippen seiner Kinder, die sich schon um die Plätze balgten und sah auf dem Vorplatz des Bahnhofes die schwarzen Stiefel seiner Bewacher.

Sie werden mich hassen, wenn sie begriffen haben, wo die Reise hingegangen ist, dachte er und wartete, dass der Zug abführe.

* * *

Die Dozentin betritt den Seminarraum. Der Saal ist schon überfüllt. Die Studenten sitzen auf ihren Plätzen. Einige lesen in ihren Aufzeichnungen oder in den Tageszeitungen, andere starren gelangweilt geradeaus und warten, dass das Seminar endlich anfängt. Wenige sprechen mit ihren Nachbarn. Sie kennen sich und haben sich extra nebeneinandergesetzt. Fremde unterhalten sich hier kaum miteinander. So etwas ist an der Uni selten.

Vorne am Tisch, an dem normalerweise die Dozentin sitzt, hat sich ein junger Student breitgemacht. Er würde heute ein Referat über den polnischen Pädagogen Janusz Korczak halten. Eigentlich sollte er es schon in der letzten Woche vortragen. Aber er war nicht erschienen. Vielleicht hatte er etwas anderes vorgehabt, oder er war krank

„Czy ty mądralo musisz wszystko wiedzieć? To ma być niespodzianka. Zobaczysz, to będzie piękna podróż do dalekiego kraju, którego nikt jeszcze nie widział.”

„Czy będą tam szympansy?”

„Nie” – odpowiedział Korczak. – Szympanów nie będzie. Ale za to szampansy.”

„Co to są szampansy?”

„To takie zabawy przy szampanie.”

„A, czyli dla dorosłych”, odparł Grześ zawiedziony.

„Skąd wiesz?”

„Dziadek też tak kiedyś ze mnie zażartował”, odpowiedział Grześ.

Stary mężczyzna uśmiechnął się.

Pociąg dzieci wjechał tymczasem na peron. Grześ zwinął zieloną flagę, a mężczyźni w mundurach skierowali dzieci do wagonów. Wsiadł także stary mężczyzna. Jako ostatni. Rozejrzał się jeszcze raz starając się wchłonąć w siebie ten ostatni widok. Spojrzał do wnętrza wagonu i zobaczył czerwone usta swoich dzieci, które zdążyły już zająć miejsca, a z przodu dworca dostrzegł czarne buty swoich strażników.

Znienawidzą mnie, gdy się dowiedzą, dokąd prowadzi ta droga, pomyślał czekając, aż pociąg ruszy.

* * *

Wykładowczynie wchodzi do sali, która jest już przepełniona. Studenci siedzą na miejscach. Niektórzy czytają swoje notatki lub gazety, inni gapią się znużeni przez okno, czekając, kiedy wreszcie zacznie się seminarium. Kilku rozmawia z sąsiadami. Znają się i dlatego usiedli obok siebie. Obcy właściwie ze sobą nie rozmawiają. To rzadkość na uniwersytecie.

Z przodu, przy stole, przy którym zwykle siedzi wykładowczynie, rozsiadł się młody student. Ma dziś przedstawić referat o polskim pedagogu, Januszu Korczaku. Właściwie miał go przygotować już na zeszły tydzień. Ale wtedy się nie pojawił. Może miał inne plany, był chory albo po prostu zapomniał. Wykładowczynie właściwie nigdy nie zwróciła na niego uwagi. Jest taki nijaki, bez charak-

gewesen oder hatte es einfach vergessen. Von diesem Studenten hat die Dozentin eigentlich noch nie Notiz genommen. Er ist so fade, so ohne Profil. Hat wohl kaum Kontakte zu seinen Kommilitonen, redet mit keinem und verschwindet nach dem Seminar so leise wie er in den Seminarraum geschlichen kam. Aber eines beeindruckt die Dozentin bei diesem zurückgezogenen Studenten doch: Sein fröhliches, urgesundes Lächeln. Er muss zwar ein stiller, aber vielleicht rundum zufriedener Mensch sein. Mal sehen, was er uns heute über das Recht des Kindes auf seinen eigenen Tod zu referieren hat.

Einmal hatte er etwas im Seminar gesagt. Ein einziges Mal. Sie hatte gefragt, welches wohl die Beweggründe gewesen sein könnten, dass Janusz Korczak seine Kinder freiwillig in die Gaskammern begleitet hatte, anstatt das Angebot der Deutschen anzunehmen, nach London ins Exil zu gehen. Da hatte er sich gemeldet und so leise wie möglich gesagt: „Weil er krank war.“

Einige im Seminar hatten angefangen, verächtlich zu kichern, andere regten sich auf und sagten: „Zyniker!“ oder „Willst dich wohl über diesen vorbildlichen Mann lustig machen?“ Er hatte geschwiegen, sagte dann aber noch: „Ich kann das nicht erklären.“

Joscha Sodalowsky sitzt jetzt vor den erwartungsvollen Augen seiner Kommilitonen und lächelt. Er lächelt verlegen nach links zur Dozentin, die sich auf einem Stuhl im Hintergrund hält, und er lächelt nach rechts auf die äußerste Tischreihe, an der die Studenten und Studentinnen sitzen. Er hört die Dozentin sagen: „Wir sind bereit, Herr Sodalowsky. Sie können beginnen.“

Joscha schwitzt. Nackenschweiß bildet sich und nässt sein rotes Hemd. Er hat Angst. Was soll er über die Theorien von Janusz Korczak sagen, wo Korczak doch nie Theorien formuliert hat? Aber an der Uni redet man über Theoretisches, da reicht es nicht zu sagen, Korczak fordert für jedes Kind das Recht auf seinen eigenen Tod, hier muss man in wissenschaftlichen Worten über seine Anschauungen reden.? Doch wie genau Korczaks Anschauungen zu interpretieren waren, hat Joscha nicht verstanden.

Er kann sich nicht auf das Referat konzentrieren. Er muss ständig an sich und seine Probleme denken. Nur an sich. Ich, ich! Nie an die anderen.

teru. Gewiss ledigle utrzymuje kontakt z kolegami ze studiów, z nikim nie rozmawia i znika po seminarium równie cicho, jak się na nim pojawia. Ale jedna rzecz wywarła na niej pewne wrażenie: to radosny, kwitnący uśmiech tego zamkniętego w sobie studenta. Cóż, ma pewnie spokojną, lecz pogodną naturę. Ciekawe, co nam powie o prawie dziecka do własnej śmierci.

Raz kiedyś odezwał się na seminarium. Jeden, jedyny raz. Zapytała, co właściwie mogło skłonić Janusza Korczaka do tego, by dobrowolnie towarzyszyć dzieciom do komór gazowych, zamiast przyjąć ofertę Niemców i wyjechać do Londynu. Wtedy on zgłosił się do odpowiedzi i powiedział najciszej, jak mógł: „Bo był chory.“

Niektórzy studenci zachichotali pogardliwie, inni krzyknęły z irytacją: „Cynik!“ i „Chcesz się naigrywać z tego wyjątkowego człowieka?“ On zaś zamilkł na chwilę, a potem powiedział: „Nie potrafię tego wyjaśnić.“

Joscha Sodalowsky siedzi teraz na wprost pełnych oczekiwania oczu swoich kolegów i uśmiecha się. Posyła pełen zakłopotania uśmiech w lewo, do siedzącej na krześle z tyłu wykładowczyni, uśmiecha się w prawo, w kierunku zewnętrznego rzędu stołów, przy których siedzą studenci. Słyszycy, jak wykładowczyni zwraca się do niego: „Jesteśmy gotowi. Może pan zaczynać.“

Joscha poci się. Kropelki potu zbierają mu się na karku, jego czerwona koszula wilgotnieje. Boi się. Co ma powiedzieć o teoriach Janusza Korczaka, skoro Korczak nigdy nie sformułował żadnych teorii? Ale na uniwersytecie trzeba mówić o teoriach, nie wystarczy stwierdzić, że Korczak żąda dla dzieci prawa do ich własnej śmierci, czyż nie trzeba tu ubrać jego poglądów w naukowy żargon? Ale jak dokładnie rozumieć poglądy Korczaka – tego Joscha nie wie.

Nie może się skoncentrować na referacie. Cały czas myśli o sobie i swoich problemach. Tylko o sobie. Ja, ja! Nigdy o innych.

Joscha nie czuje się dobrze. Brak mu sił, do południa wyleguje się w łóżku, drzemie, rozmyśla. Jego myśli wciąż krążą wokół

Joscha geht es im Moment nicht gut. Er ist ohne Antrieb, liegt bis mittags matt im Bett, dösend, grübelnd. Seine Gedanken kreisen nur um sich, nie um die anderen. Nicht einmal an Korczak kann er denken. Ständig denkt er an Katharina und Dilara. Katharina hat sich im letzten Herbst von ihm getrennt und das Sorgerecht für die Tochter bekommen. Im Herbst würden die beiden nach Rumänien auswandern, dann sähe er seine Tochter gar nicht mehr. Jetzt ist Joscha gefangen im Vakuum seines inneren Gefängnisses.

Das einzige, was Joscha geblieben ist, ist sein Lächeln, doch es ist längst zu einer Maske erstarrt, um seinen Mitmenschen vorzutäuschen, ihm ginge es gut.

Jetzt solle er ein Referat über die „Rechte des Kindes auf den eigenen Tod“ halten? Das Recht auf den eigenen Tod? In der letzten Woche, als er das Referat halten sollte, war er nicht im Seminar erschienen. Er hatte sich gedrückt, war zu Hause geblieben, hatte Wasser in die Wanne gelassen, Tabletten geschluckt und Wodka getrunken. Er wollte sich auf und davon machen. Er konnte einfach nicht mehr. Sein WG-Mitbewohner hat Schlimmes geahnt und ihn aus dem Wasser geholt. Ist es das, was ich von Korczak gelernt habe? Sterben, wenn ich nicht mehr weiter weiß?

Aber Joscha ahnt auch, dass Korczak mit dem ‘Recht des Kindes auf seinen eigenen Tod’ eigentlich das Recht zum Leben meint. Und dieses Recht hatte er verschenken wollen.

Es herrscht jetzt Totenstille im Seminar. Er müsste beginnen. Aber er könnte nicht frei reden; er würde das Skript vorlesen, das eine Kommilitonin im ersten Semester ihm geschrieben hat, weil sie nicht mit ansehen konnte, wie er plötzlich alle Kraft verlor, keinen Sinn mehr im Leben sah.

Joscha beginnt zu lesen: „Janusz Korczak war zuerst Mensch.“

Janine hat ihm alles sauber mit der Maschine getippt. Joscha liest zögernd, seine Hände zittern. Ihm ist es peinlich, diesen banalen Satz vorzulesen. Das ist doch keine Sprache, die sich mit dem Wirken dieses Mannes auseinandersetzen könnte. An der Uni spricht man anders, wissenschaftlich, analytisch. Joscha hat Angst, die Kommilitonen würden zu kichern beginnen. Er fürchtet sich davor, dass die Dozentin ihn unterbrechen und ermahnen würde, dass sie hier nicht mehr auf der

nies, nigdy wokół innych. Nie potrafi myśleć nawet o Korczaku. Myśli wciąż o Katherinie i Dilarze. Katharina odeszła od niego minionej jesieni i dostała prawo opieki nad córką. Tej jesieni obie przenoszą się do Rumunii, wtedy w ogóle przestanie widywać małą. Joscha siedzi w próżni swego własnego wewnętrznego więzienia.

Jedyne, co mu pozostało, to jego uśmiech, który jednak już dawno zastygł jak maska, którym oszukuje ludzi, by myśleli, że jest szczęśliwy.

A teraz ma wygłosić referat na temat „prawa dziecka do własnej śmierci”? Prawa do własnej śmierci? W zeszłym tygodniu, kiedy miał dokonać prezentacji, w ogóle nie pojawił się na seminarium. Stchórzył, został w domu, napaścił wody do wanny, połknął tabletki i popił wódką. Chciał uciec. Nie mógł już wytrzymać. Sąsiad ze stacji zorientował się w sytuacji i wyciągnął go z wody. Czy tego nauczyłem się od Korczaka? Żeby umrzeć, kiedy już nie widzę wyjścia?

Ale Joscha świta, że Korczak mówiąc o „prawie dzieci do własnej śmierci” ma tak naprawdę na myśli prawo do życia. I że to prawo chciał im podarować.

W sali seminaryjnej panuje grobowa cisza. Czas zaczynać. Ale on nie umie przemawiać, musi czytać z kartki, tekst, który napisała mu jedna z koleżanek z pierwszego semestru, bo nie potrafiła znieść, że tak nagle stracił całą chęć do życia, poczucie sensu.

Joscha zaczyna czytać: „Janusz Korczak był przede wszystkim człowiekiem.”

Janina napisała mu wszystko czytelnie, na maszynie. Joscha czyta z wahaniem, trzęsą mu się ręce. Wstyd mu, że czyta ten banał. Przecież to nie jest język, który mógłby opisać działalność tego człowieka. Na uniwersytecie trzeba mówić inaczej, naukowo, analitycznie. Joscha boi się, że koledzy znów zaczną się naśmiewać. Obawia się, że wykładowczyni przerwie i go napomni, że nie jest w szkole, że nie ma tu czytać wypracowań, tylko dokonać poważnej, naukowej analizy działalności słynnego pedagoga.

Joscha nie identyfikuje się z tekstem swojej koleżanki. Czuje zażenowanie, ale jednak

Schule seien und dass sie keine Schulaufsätze vorlesen sollen, sondern sich ernsthaft, wissenschaftlich, mit einem berühmten Pädagogen auseinandersetzen müssten.

Joscha steht nicht zu dem Text, den die Kommilitonin geschrieben hat. Er schämt sich für Janine, aber fährt dennoch fort: „Schon früh entdeckte er seine Liebe zu den Menschen. Als Student verkleidete er sich in der Weihnachtszeit als Weihnachtsmann und beschenkte alle Armen seines Viertels.“

Joscha muss stocken. Einer im Seminar hat sich geräuspert: Er langweilt sich! Er will mir ein Zeichen geben, dass ich endlich aufhören soll, Joscha wird noch unsicherer. Natürlich, jeder Student oder fast jeder jobbt Weihnachten als Weihnachtsmann. So etwas Banales. Das ist doch keine Wissenschaft, was Janine da geschrieben hat.

Joscha liest weiter: „Janusz Korczak hat sich an die Theorie gewagt. Er schrieb immer anschaulich, beschrieb Szenen aus dem Leben seiner Kinder, um zu überzeugen. Nur drei Theorien hat er aufgestellt. Eine davon ist ‘Das Recht des Kindes auf seinen eigenen Tod’. Wie kann man das verstehen? Ich habe keine Antwort darauf. Jedenfalls keine absolute.“

Joscha hält im Vorlesen inne: Ich habe keine absolute Antwort darauf! Lächerlich. Peinlich. Janine hat keine. Und ich lese das vor. Später wird es eine Diskussion geben. Da muss ich mich rechtfertigen. Joscha holt tief Luft und liest weiter. Die Dozentin und die Studenten hören aufmerksam zu.

„Vielleicht könnte man“, fährt er fort, „die Theorie vom ‘Recht des Kindes auf den eigenen Tod’ mit einem Beispiel aus unserer Zeit erklären. Wenn ein Sohn mit sechzehn Jahren auf eine Bergtour gehen will, stehen die Eltern vor der Wahl, ihm das zu verbieten oder zu erlauben. Verbieten sie es ihm, weil sie sich ängstigen, ihm könne etwas passieren, dann retten sie ihm unter Umständen das Leben, behindern ihn aber in seiner Entwicklung und bezwecken möglicherweise, dass er einmal ein passives, leeres und totes Leben führen wird. Erlauben sie es ihm, geben sie ihm die absolute Freiheit, gehen aber das Risiko ein, dass er ums Leben kommt. Sie gestehen also dem Sohn das Recht auf seinen eigenen Tod zu.“

Joscha liest nicht mehr weiter. Schweigen. Erwarten die noch was? Ich bin am Ende. Mehr

czyta dalej: „Już w młodości odkrył swą miłość do ludzi. Jako student w Boże Narodzenie przebierał się za świętego Mikołaja i obdarowywał ubogich ze swojej dzielnicy.“

Jascha zaciął się. Ktoś w sali odkaszlnął. Nudzi się! Chce mi dać znać, że mam już skończyć! Joscha traci resztki pewności siebie. Oczywiście, każdy – albo prawie każdy – student dorabia sobie w święta jako Mikołaj. Co za banał. Janina zupełnie nie rozumie, na czym polega naukowa rozprawa.

Joscha czyta dalej: „Janusz Korczak poważił się na rozważania teoretyczne. Miał jasny styl, opisywał sceny z życia dzieci, chciał przekonywać. Stworzył tylko trzy teorie. Jedną z nich jest ‘prawo dziecka do własnej śmierci’. Jak należy to rozumieć? Nie znam odpowiedzi na to pytanie. A w każdym razie – nie znam odpowiedzi ostatecznej.“

Joscha robi przerwę: nie znam ostatecznej odpowiedzi! Śmieszne. Żalotne. To Janina nie zna. A ja czytam. A potem będzie dyskusja. I będę musiał bronić tych bzdur. Joscha wzdycha głęboko i czyta dalej. Wykładowczyni i studenci słuchają z uwagą.

„Zapewne można by“, kontynuuje, „wyjaśnić ‘prawo dziecka do własnej śmierci’ na przykładzie z dzisiejszych czasów. Jeśli szesnastolatek chce jechać na wycieczkę w góry, rodzice mogą mu na to pozwolić lub mu tego zabronić. Jeśli mu zabronią, ponieważ boją się, że może mu się przytrafić coś złego, to być może ratują mu życie, jednak utrudniają mu rozwój, przyczyniają się w jakimś stopniu do tego, że będzie prowadził pasywne, puste, martwe życie. Jeśli jednak pozwolą mu jechać, dają mu pełną wolność, ale ryzykują, że straci życie. Dają więc swemu synowi prawo do własnej śmierci.“

Joscha już nie czyta. Milczenie. Spodziewają się dalszego ciągu? Skończyłem. Nie mam tu nic więcej. Janina nic więcej nie napisała. Wszystkiego dziesięć minut. Referat na uniwersytecie trwa zwykle przynajmniej trzy kwadranse.

„To wszystko.“

Studenci klaszczą cicho w dłonie. Wykładowczyni mówią: „To był krótki referat, ale za to bardzo jasny. Dziękujemy panu.“

habe ich nicht. Mehr hat meine Freundin nicht aufgeschrieben. Zehn Minuten hat es gedauert. Ein Referat an der Uni dauert normalerweise eine dreiviertel Stunde.

„Das ist alles.“

Die Studenten trommeln leise mit den Fäusten auf die Tische. Die Dozentin sagt: „Das war ein kurzes Referat, aber dafür sehr klar. Wir bedanken uns bei Ihnen, Herr Sodalowski.“

Joscha freut sich nicht. Er kann sich nicht freuen. Er bekommt Applaus, den eigentlich Janine verdient hätte. Er schämt sich und versteht nicht einmal, warum dieses Referat, das er so banal findet, zu dem er nicht steht, so sehr beklatscht wird.

Die Diskussion würde jetzt beginnen. Joschas Herz klopft. Sie würden Fragen stellen, die er nicht beantworten könnte. Es würde herauskommen, dass er das Referat nicht alleine geschrieben hatte. Die Dozentin erhebt sich von ihrem Stuhl, stellt sich neben Joscha Sodalowski und spricht die gefürchtete Frage ins Seminar: „Haben Sie zu dem Vorgetragenen noch irgendwelche Fragen?“

Stille.

Niemand meldet sich zu Wort. Sie haben zwar geklatscht, aber nur aus Höflichkeit. Sie haben nichts verstanden. Janine hat über alltägliche Banalitäten geschrieben. Dazu gibt es nichts zu sagen. Warum hat er bloß nicht die Kraft und das Wissen gehabt, ein wissenschaftliches Referat zu schreiben. Er ist ein Versager. Dieses Schweigen ist sein Todesurteil!

Ein Student mit stählerner Nickelbrille meldet sich zu Wort: „Äh... ich habe ein bisschen gezögert, bis ich mich zu Wort meldete, weil, ehrlich gesagt, viel konnte ich nicht mit deinem etwas banalen Exposé anfangen. Dennoch will ich versuchen, die implizite message deiner dürftigen Ausführungen zu verstehen. Ich will versuchen, einige Bezüge zur modernen Philosophie herzustellen. Ich will jetzt nicht explizit auf die globale Dialektikdiskussion in der modernen Philosophie eingehen. Ich setze Marx und Engels voraus ...“

Die ersten Buh-Rufe ertönen.

„... aber was sich aus deinem etwas banalen Beispiel über die Justifikation des Todes herauskristallisieren lässt,“ fährt der Student unbeirrt fort, „ist, dass Korczak hier, sicherlich ohne reflektiert zu haben, denn er war ja schließlich nur Pädagoge, eine dialektische Theorie entworfen hat.“

Joscha sich nie cieszy. Nie ma z czego się cieszyć. Dostaje brawa, na które właściwie zasłużyła Janina. Wstydzi się i nie rozumie, dlaczego ten referat, który jemu wydaje się tak banalny, z którym się nawet nie zgadza, jest tak oklaskiwany.

Czas rozpocząć dyskusję. Serce Joschy wali jak młotem. Zadadzą mu pytania, na które nie będzie potrafił odpowiedzieć. Zaraz wyjdzie na jaw, że nie napisał tego referatu sam. Wykładowczyni wstaje ze swego krzesła, staje obok Joschy Sodalowsky'ego i wygłasza zdanie, którego on tak się obawia: „Czy mają Państwo jakies pytania do referatu?“

Cisza.

Nikt się nie zgłasza. Wprawdzie klaskali, ale tylko z grzeczności. Nic nie zrozumieli. Janina skoncentrowała się na codziennych banałach. Nie da się o tym dyskutować. Dlaczego nie znalazł w sobie dość wiedzy i sił, by napisać naukowy referat. Jest kompletnym niedołągą. To milczenie jest wyrokiem śmierci!

Do dyskusji zgłasza się student w stalowych, niklowanych okularach: „Hm, hm... trochę zwlekałem z zabraniem głosu, bo, mówiąc szczerze, nie bardzo wiedziałem, jak odnieść się do twojego nieco banalnego expose. Mimo to podejmę próbę zinterpretowania treści zawartych implícite w twoich lichych rozważaniach. Chciałbym odnaleźć ich powiązania z nowoczesną filozofią. Nie będę tu przywoływać explicitie ogólnego dyskursu o dialektyce w nowoczesnej filozofii. Odsyłam do Marksa i Engelsa...“

Słychać pierwsze pomruki niezadowolenia.

„...Ale to, co można wykrystalizować z twojego raczej banalnego przykładu o usprawiedliwieniu śmierci“, kontynuuje student niewzruszenie, „to że Korczak stworzył w ten sposób, z pewnością bezrefleksyjnie, w końcu był tylko pedagogiem, teorię dialektyczną.“

Jakiś student z długimi, kręconymi włosami i zielonym wiecznym piórem przerywa studentowi w okularach, mówi z silnie szwabskim akcentem, nie odnosząc się

Ein Student mit langen strähnigen Haaren und grünem Parker unterbricht in stark schwäbischem Akzent den Studenten mit der Nickelbrille, ohne auf den Vorredner einzugehen: „Will Korczak andeuten, dass die Fülle von Situationen, in die ein Mensch sich täglich begibt, von ihm zu jedem neuen Zeitpunkt indirekt die Entscheidung abverlangt, aufzugeben oder weiterzumachen und in letzter Konsequenz sich für den Suizid oder das Leben zu entscheiden?“

Suizid! ... Dieser Student hat Joscha durchschaut.

Der mit der Nickelbrille kommt wieder in Fahrt: „Exakt! Die hier anskizzierte Dialektik zwischen Aufgeben und Weitersuchen, zwischen Tod und Leben ist sehr signifikant für das Korczakverständnis. Ich möchte das Seminar mit einer meines Wissens von Sartre entlehnten Metapher bereichern, die er in seinem Werk ‚Das Sein und das Nichts‘ illustriert hat. Ich sehe mich mit dem französischen Existentialisten geneigt, das Individuum auf den vom Referenten übrigens antizipierten Berggipfel zu setzen und ihm die Entscheidung über die absolute Freiheit zu überlassen, sich in den Abgrund, das heißt in den Suizid zu stürzen oder das Himmelreich für sich zu entdecken, denn ...äh... man könnte bei diesem Aspekt sogar bis zu den Wurzeln der griechischen Mythologie vordringen. Ich spreche selbstredend von der Ikarussymbolik.“

Joscha Sodalowsky kann nicht mehr zuhören. Er versteht nichts von dem, was der Student da sagt. Aufhören!!!, schreit es ihn ihm. Du bringst mich um mit deinem Gerede!

Aber da ist noch das, was der Student in dem Parker vorhin gesagt hat ... wir stehen in jeder Minute unseres Lebens vor der Entscheidung, aufzugeben oder weiter zu machen. Soll sich Joscha also etwa doch für das Leben, für das Weitermachen entschließen?

Eine Studentin mit blondgefärbten Haaren und rot angemalten Lippen meldet sich zu Wort: „Also, ehrlich, ich frage mich, was das ganze hier soll! Der Student hat ein Referat über Janusz Korczak gehalten, und jetzt reden wir über Sartre und die alten Griechen. Ich verstehe gar nichts mehr. Ich frage mich, bin ich dumm oder liegt das an der Laberfreudigkeit so mancher Pseudointellektueller, die man regelmäßig in einschlägigen Seminaren

zupfehlen do przedmówcy: „Czy Korczak chce pokazać, że wiele codziennych sytuacji człowieka wymaga od niego, pośrednio, lecz wciąż na nowo, decyzji, czy ma zrezygnować, czy kontynuować wysiłki, czy ma żyć, czy popełnić samobójstwo?“

Samobójstwo! Ten chłopak przejrzał Joschę na wylot!

Student w okularach złapał drugi oddech: „Dokładnie tak! Naszkicowana tu dialektyka między rezygnacją i dalszym poszukiwaniem, między śmiercią i życiem jest sygnifikantna dla interpretacji Korczaka. Chciałbym wzbogacić dzisiejsze seminarium o metaforę zapożyczoną, jeśli się nie mylę, od Sartre’a, którą zilustrował w swym dziele ‚Byt i nicłość‘. Wraz z tym francuskim egzystencjalistą gotów byłbym posadzić jednostkę na antycypowanym zresztą przez naszego referenta szczycie góry i pozostawić jej całkowitą wolność decydowania, czy chce skoczyć w przepaść, czyli ku samobójstwu, czy też odkryć dla siebie niebiosa, ponieważ... hm, hm... aspekt ten można analizować także sięgając do samych źródeł mitologii greckiej. Mówię tu rzecz jasna o motywie ikaryjskim.“

Joscha Sodalowsky nie może tego dalej słuchać. Nie rozumie z tego ani słowa. Słyszy swój wewnętrzny krzyk: Dość!!! Zabijesz mnie tym swoim gadaniem!

Ale przecież jest jeszcze kwestia, którą poruszył student z wiecznym piórem... w każdej chwili stoimy przed wyborem: zrezygnować czy żyć dalej? Czy Joscha ma się zdecydować na dalsze życie, czy ma podjąć dalsze wysiłki?

Zgłasza się studentka z pofarbowanymi na blond włosami i z czerwonymi od szminki ustami: „Mówiąc szczerze zastanawiam się, co to wszystko ma znaczyć! Przyszliśmy na referat o Januszu Korczaku, a nagle słyszymy o Sartre i starożytnych Grekach. Nie rozumiem tego. Zastanawiam się, czy to ja jestem taka głupia, czy może trafiliśmy na przykład gadulstwa pseudointelektualistów panoszących się po seminariach. Referat był tak przekonywujący, tak dobry, jasny. Naprawdę nie ma potrzeby nic więcej dodawać.“

wiederfindet. Echt, ich fand das Referat so einleuchtend, so gut, so glasklar. Da braucht man wirklich nichts mehr zu sagen."

Joscha sieht die Studentin an. Er sieht auf ihre roten Lippen ... und er sieht auf die schwarzen Schuhe des Studenten mit der Nickelbrille.

* * *

„Doktor, sind wir bald in Afrika?"

Der alte Mann saß in sich versunken zwischen seinen Kindern. Gregor hatte ihn aus seinen Gedanken gerissen.

„Nein, wir sind noch lange nicht in Afrika. Gregor, willst du nicht wieder durch die Ritzen der Holzbretter nach draußen schauen?"

„Das habe ich doch die ganze Zeit gemacht!" Gregor lachte. „Ich habe meinen Platz Raissa überlassen. Sie wollte so gerne auch mal gucken."

„Und was hast du gesehen?"

Herr Korczak musste laut sprechen, um das dumpfe Dröhnen der Räder auf den Gleisen zu übertönen.

„Wir fahren lange durch Birkenwälder. Eben habe ich in der Ferne einen großen Berg gesehen. Oh, Herr Korczak, können wir nicht anhalten. Ich würde so gerne einmal auf diesen Berg klettern!", bettelte Gregor.

Herr Korczak lächelte. „Und was würdest du auf diesem Berg tun, Gregor?"

„Was ich auf dem Berg tun würde?" Gregor lachte. „Immer weiter klettern, bis ich die Sterne mit den Händen greifen kann."



Joscha patrzy na studentkę. Widzi jej czerwone usta... i czarne buty studenta w okularach.

* * *

„Panie doktorze, daleko jeszcze do Afryki?"

Stary człowiek siedział pogrążony w myślach w otoczeniu swoich dzieci. Grześ wyrwał go z zamyślenia.

„Tak, jeszcze bardzo daleko do Afryki. Grzesiu, może wyjrzyj na zewnątrz przez te szpary w deskach?"

„No przecież cały czas to robiłem!" roześmiał się Grześ. „Teraz zamieniłem się miejscami z Raisą. Też chciała popatrzeć."

„A co widziałeś?"

Korczak musiał mówić głośno, żeby przekrzyczeć głucho dudnienie kół po torach.

„Jechaliśmy długo przez brzozy las. Przed chwilą widziałem w dali wielką górę. Och, panie doktorze, nie możemy się na chwilę zatrzymać? Tak chciałbym wejść na tę górę!", poprosił Grześ.

Korczak uśmiechnął się. „A co byś zrobił tam, na szczycie, Grzesiu?"

„Co bym zrobił na szczycie?" Grześ zaśmiał się. „Wspinałbym się dalej, aż do samych gwiazd!"

Tłumaczenie Grzegorz Kowalski

